

Janusz Aleksandra

Zadanie dla Rosenkhata

Z „Fahrenheit”

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy podróżny i jego flegmatyczny, grubokościsty kasztanek zatrzymali się przy Drzewie Wędrowców. Mężczyzna westchnął z ulgą, zsiadając z konia; najwyraźniej nie był przyzwyczajony do podróżowania wierzchem. Musiał mieć zapewne ważny powód, skoro jednak dosiadł konia, a do tego zapuścił się w tak nieprzyjazne rejony. Ta część Aldianu, w pobliżu Wzgórz Ethayaane dawała azyl różnym banitom, zbiegom i zbójcom, osad było tu niewiele, za to dzikich zwierząt pod dostatkiem.

Podróżny ziewnął, podrapał się po plecach i w poszukiwaniu koca sięgnął do umieszczonych na końskim grzbiecie sakw, podczas gdy kasztanek z obojętnością pochylił się i zaczął skubać kępkę czerwonej trawy, dość pospolitej w tych okolicach.

Drzewo Wędrowców rośnie zapraszająco tuż obok. Szeroki pień, bulwiasty u nasady, był pusty w środku. Powstała przestrzeń mogła swobodnie pomieścić nawet jednego z przysłowiowo otyłych wielmożów aragańskich wraz z podróżnym ekwipunkiem, a co dopiero owego wędrowca, któremu nieco brakowało do przeciętnej tuszy i przeciętnej wzrostu. Dla wielu podróżnych takie drzewa stanowiły przyjemną alternatywę dla snu pod gołym niebem.

- *Drall kharann!* - zaklął szpetnie mężczyzna, zaglądając do wnętrza pnia.

Oczywiście, zalety Drzewa Wędrowców doceniały też i niektóre zwierzęta. Na przykład ten oto płowy tharris, który - jak wszystkie koty - bardzo cenił sobie wygodę.

Drapieżnik prychnął wściekle; zaś podróżny uprzejmie odsunął się od dziupli.

- Liczę do trzech. - oświadczył. - Jeśli zaraz stąd sobie nie pójdziesz, będę zmuszony uciec się do drastycznych środków.

Tharris bardzo uważnie przyjrzał się natrętowi. Zwierzęcy instynkt podpowiadał mu, że tego człowieka nie da się bezkarnie ugryźć lub podrapać. Wyglądał co prawda całkiem zwyczajnie, nie pachniał też jak myśliwy, ale mimo wszystko...coś takiego w nim było...

- Ja wcale nie żartuję. - rzekł tamten, uśmiechając się szeroko. - No, już cię nie ma. Psik.



O AUTORCE

Aleksandra Janusz - urodziła się 24 maja 1980 roku, tuż przed kolejnym odcinkiem serialu "Pogoda dla bogaczy". W związku z tym przez całe życie żywi nadzieję, że kiedyś będzie sławna i bogata, choć tak naprawdę do szczęścia wystarczy jej dobra herbata, ciekawa książka i porządna sesja RPG. Nałogowa czytaczka, próby literackie zaczęła podejmować jeszcze w wieku przedszkolnym, a ponieważ jest uparta, pisze nadal. Lubi fantastykę wszelkiej maści, nie stroni także od innych powieści. Chętnie grywa w gry fabularne, pasjonuje się też komiksem i animacją ze wszystkich stron świata. Ma kilka innych pomniejszych hobby, ponieważ z natury interesuje się wszystkim, a potem narzeka na brak czasu. Regularnie publikuje recenzje w czasopiśmie "Kawaii"; ostatnio debiutowała w "Science Fiction" opowiadaniem "Z akt miasta Farewell". Oprócz tego jest prawdziwym szczurem laboratoryjnym - jak przystało na magistrantkę Zakładu Genetyki UW, połowę czasu wolnego spędza przy szalkach, komórkach i roztworach.

Z wielką niechęcią i z wyraźnym ociąganiem drapieжник opuścił zacisne lokum i oddalił się, znikając w gęstwinie, natomiast podróżny nie bez szczególnego pośpiechu zaczął rozlokowywać się wewnątrz drzewa.

Całe zajście obserwoowało dwóch bandytów, schowanych w krzakach nieopodal. Jeszcze kilka chwil temu byli oni przekonani, że trafiła im się niezła okazja. Teraz popatrzyli po sobie z lekkim zdziwieniem.

- Gada ze zwierzętami, czy co...? - mruknął jeden z nich, uważnie przyglądając się potencjalnej ofierze. - Dziwny jakiś...

- Dziwny, nie dziwny, sakwy ma pełne. - zauważył drugi zdroworoządkowo. - A na silnego mi jakoś nie patrzy. Nawet jeśli, łapiemy konia i w nogi, mrugnąć nie zdąży...

- A niech to... - sapnął nagle ten pierwszy. - Popatrz ty lepiej na jego włosy.

- Świński blondyn, i co z tego?

- Ty głupi chyba jakiś jesteś, co tam kolor, chodzi mi o ten warkoczyk z koralikami...

Istotnie, podróżny, który właśnie wrzucał koce w głąb dziupli, odwrócił się do nich plecami, prezentując cienki warkoczyk, sięgający mu aż do pasa i ozdobiony sporą ilością drobnych paciorków.

- To jest znak Gildii, rozumiesz? Już raz taki widziałem. - wyjaśnił tymczasem bandyta. - Czarodziej, nawet nie normalny, tylko z Gildii. Jak coś mu zrobimy, rąbnie w nas takim zaklęciem, że wylądujemy po drugiej stronie Tir'nay.

- Myślisz...?

- To najprawdziwsza prawda! - zawołał tymczasem podróżny. Obaj bandyci wzdrygnęli się. Rozmawiali szeptem, tak cicho, że żaden zwykły człowiek by ich nie usłyszał, szczególnie przy wtórze odgłosów przyrody. Ale czarodziej...i to należący do Gildii...

- Macie rację. - rzekł tamten, zupełnie beztrąsko zwracając się w kierunku krzaków. - Jestem całkowicie nienormalnym czarodziejem z Gildii. Jeśli spróbujecie mi coś zrobić, rąbnę w was takim zaklęciem, że wylądujecie po drugiej stronie kontynentu...

Bandyci nie zastanawiali się długo i wycofali się nadzwyczaj szybko, zaś czarodziej posłał za nimi średniej wielkości iluzyjną zjawę, naśladującą wyglądem sporego i bardzo rozeźlonego ducha *Uun*.

Rosenkhat Darantian, zwany również Złośliwcem, młody mistrz niższego stopnia, nie znosił bowiem, gdy nazywano go świńskim blondynem.

Leśna gęstwa ustępowała powoli rozległemu łąkom, kiedy Rosenkhat Darantian powoli zbliżał się do celu swojej podróży. Zza mijanego właśnie wzgórza wylaniały się pokryte strzechą chaty oraz stodoły. Gorąco było niemożliwie, choć lato było wczesne, już prażyło słońcem. Kasztankowi było najwidoczniej wszystko jedno; siedł z całkowitą obojętnością. Trudno było zgadnąć, czy koń jest tak wytrzymały, zrezygnowany czy też po prostu głupi. Rosenkhat jednak z trudem znosił upał. Jako oficjalny posłaniec Gildii, postanowił mianowicie ubrać się oficjalnie. Nie wypadało bowiem, aby mag jego klasy wjeżdżał do wioski w burchach spodniach i rozchełstanej koszulinie, świecąc nagą pierś niczym pospolity chłop. Każdy, przy odrobinie rozeznania i rozsądku, wiedział, że autorytet należy budzić od pierwszego rzutu oka - inaczej nie sposób doczekać się później odpowiedniego szacunku. Szacunek i respekt mają natomiast wielkie znaczenie przy załatwianiu ważnych spraw.

Czerwona, obfita szata o długich, wzorzystych rękawach oraz szeroki pas z wyhaftowanymi symbolami Gildii z całą pewnością wywierały odpowiednie wrażenie. Niestety, sprawiały również, że czarodziej myślał jedynie o zimnym piwie.

Zakłęcie chłodzące rzucił, a jakże. Utrzymał je całe przedpołudnie, aż w końcu zainteresowały się nim miejscowe magiolubne osy. Z dwojga złego wolał upaść. Ta część Aldianu znajdowała się stanowczo zbyt blisko tsajińskich Stepów. Im bliżej granicy, tym więcej naturalnej magii przesyciła otoczenie i tym bardziej osobliwe gatunki zwierząt oraz roślin można było spotkać. Rosenkhat wiedział o tym doskonale, w końcu znalazł się w tym miejscu właśnie z tego powodu.

Misja, której podjął się czarodziej, należała do tych wyjątkowo delikatnych. Wysyłanie więcej niż jednego przedstawiciela Gildii - lub też kogoś znanego ze swojej potęgi - wzbudziłoby natychmiastowe podejrzenia u osób, które zdecydowanie nie powinny dowiedzieć się o całej sprawie. Z drugiej strony, pomniejszy mag mógł nie sprostać zadaniu. Dlatego też należało posłać kogoś młodego i stosunkowo jeszcze nieznanego, za to świetnego w swoim fachu. Rosenkhat od początku nie miał wątpliwości, że padnie na niego.

Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że był geniuszem magicznym. W wieku szesnastu lat zdobył dyplom, trzy lata później asystenturę, zaś obecnie, ukończywszy dwadzieścia pięć lat dosłużył się już tytułu mistrza niższego stopnia. Miał ambicję zostać kiedyś Arcymistrzem. Nie zamierzał jednak dążyć do tego po trupach, aż tak bardzo mu się nie spieszyło. Nie przepadał zresztą za polityką. Postanowił poczekać jakieś dwadzieścia lat, aż ta propozycja padnie sama - w tej kwestii również nie miał żadnych wątpliwości. Ego Rosenkhata było równie wielkie, jak jego talent.

Dotarli wreszcie do pierwszych bielonych, dosyć schludnie utrzymanych chat, czarodziej rozmyślnie wstrzymał nieco konia, aby tutejsi chłopcy mieli czas, by zorientować się, jakież to znamienity gość zawitał do ich wioski na krańcu świata. Imponujący wjazd nie pozostał niezauważony. Paru wieśniaków pokazywało go sobie palcami, dzieciaki podniosły radosny harmider, jakaś kobieta upuściła nawet kosz z praniem. Rosenkhat z nonszalancją zsiadł z konia i poprowadził go, trzymając za uzdę. Ci ludzie będą opowiadać sobie o jego przybyciu przez następne kilka miesięcy. Nikt nie zakwestionuje obecności wysłannika Gildii w tym miejscu. Ani też jej praw do cennego znaleziska...o ile wszystko pójdzie gładko. Oby.

Rosenkhat z lekkim zdziwieniem spojrzął przed siebie, stwierdzając, że drogę zagradza mu wyjątkowo okazały gąsior. I najwyraźniej nie zamierza ustąpić.

- Ksssss - powiedział gąsior.

Rosenkhat odruchowo cofnął się dwa kroki, mimowolnie rozważając możliwość wystraszenia zwierzęcia głośniejszym "kss". Czarodziej bez mrugnięcia okiem rozprawiał się z Verkhenami i hydrami; nie obawiał się ludzi, Nighaneerów, Tsaji ani innych śmiertelników; kpił sobie z duchów, daemonites oraz leśnych drapieżnych kotów...jednak tak, jak większość ludzi potężnych i - zdawałoby się - nieustraszonych, żywił irracjonalny lęk przed niektórymi stosunkowo niegroźnymi stworzeniami. W tej chwili tylko duma powstrzymywała go od wykonania haniebnego odwrotu.

Orientując się wreszcie, że z wielkim zaciekawieniem patrzy na niego pół wioski, Rosenkhat uczynił pierwszą rzecz, jaka mu przyszła do głowy.

- *Athé!*

Na piórach zdobiących tłusty kuper gąsiora wykwitły niewielkie płomienie. Ptak, wydając z siebie szereg przerażonych gęganiek, uciekł w popłochu, ciągnąc za sobą smugę dymu. Wśród wieśniaków zapanowała żywiołowa wesołość. Śmiano się z gąsiora, a nie z przybysza, co Rosenkhat zauważył z wielką ulgą. Odzyskał więc honor, co więcej - niezaprzeczalnie dowiódł swoich magicznych umiejętności. Jednocześnie czarodziej poczuł przyływ irytacji. Co jeszcze może go spotkać na tym zadupiu? Z chęcią stanąłby oko w oko z jakimś potworem, a nie z drobiem.

Uciszywszy więc śmiechy odpowiednio groźnym spojrzeniem, czarodziej udał się w kierunku największej i najzamożniejszej chałupy, która wedle wszelkiej logiki należała do wójta. Żadnej tabliczki z oznaczeniem nie dostrzegł, ale też nie spodziewał się jej. Chłopi nie przywiązywali wagi do takich rzeczy, tym bardziej, że z całą pewnością wszyscy byli niepiśmienni.

Przed domem na ławie siedział brzuchaty człowiek w średnim wieku i z błogą satysfakcją palił wyjątkowo długą fajkę, oparłszy ją o ziemię. Zwyczaj ten, zapożyczony od Nighaneerów, w ostatnich czasach rozpowszechnił się na pograniczu. Ciekawa sprawa, zważywszy, że ludzie prości na ogół nienawidzili Ciemnoskórych. Ale cóż - zbyt bliska granicy, zarówno południowej - tsajińskiej jak też wschodniej, bezustannie grożącej inwazjami Purpury zmienia obyczaje. Chociaż z drugiej strony ci wieśniacy tutaj nie wyglądali na żyjących w ciągłym zagrożeniu. Panujący w okolicy sielankowy spokój najpewniej można było zawdzięczać pobliskiej stacji rycerzy Sol...

Przypomniawszy sobie o Zakonie, stanowiącym dla niego konkurencję, Rosenkhat przyspieszył kroku.

- Jestem Rosenkhat Darantian, Dyplomowany Czarodziej, Mistrz Gildii Sztuk Magicznych i oficjalny jej posłaniec! - oznajmił władczo. - Gdzie znajdę wójta?

Brzuchaty człowiek leniwie podniósł się z miejsca.

- Znajdziesz go tutaj, panie - powiedział - Gdyż to ja jestem wójtem. Moje imię Erges, do usług szanownego pana maga.

"Do usług" w tym przypadku zabrzmiało tak, jak "mów, czego chcesz i czym prędzej zostaw mnie w spokoju".

Czarodziej zmarszczył brwi. Nie do końca jeszcze ochłonął po spotkaniu z gąsiorem i nie był w zbyt dobrym humorze.

- Mam parę pytań, a pierwsze z nich brzmi: czy macie tu jakąś gospodę?

- Gospoda? A po co nam tu gospoda? Rzadko widzimy podróżnych, panie.

- Jasne, po co nam tu gospoda, przecież to Zadupie Mniejsze. - Rosenkhat skrzywił się z ironią. - W takim razie ugości mnie wójt na koszt własny.

Erges podrapał się po plecach z dziwnie chytrym uśmiechem na twarzy.

- Ależ panie, czyż goszczenie posłańca Gildii nie należy do przywilejów maga? Tak się składa, że mamy w naszej wiosce czarodzieja. Mieszka w chacie nad strumieniem, o w tamtą stronę. - wójt machnął ręką.

Wioskowy czarodziej? Rosenkhat zdziwił się nieco. Istniały tylko dwa powody, dla których jakkolwiek mag zgodziłby się zamieszkać w takim miejscu, jeśli oczywiście wykluczmy niezwykle rzadki pociąg do uroków życia w kompletnej głuszy. Po pierwsze, mógł to być absolutny nieudacznik, któremu nie udało się zdobyć zajęcia nigdzie indziej. Cudownie... Po drugie - w zupełności i do końca miejscowy czarodziej i znachor, kształcony przez miejscowego czarodzieja i znachora, i tak już od wieków i pokoleń. Bez szans i zazwyczaj bez chęci wybicia się. A do tego pewnie, bo jak pech to pech, stary sklerotyk o piekielnym charakterze. Rosenkhat miał bardzo złe doświadczenia w kontaktach z magicznymi niedoukami, których mniemanie o sobie znacznie przekraczało umiejętności. Na szczęście miał ze sobą pełnomocnictwo - pieczęć Gildii, która otwierała każde drzwi - w sensie przenośnym, a nie dosłownym, rzecz jasna.

- Znakomicie. Rozumiem, że ten tam wasz czarodziej dobrze zna okoliczne wzgórza, a może nawet ma dokładną mapę...? - Rosenkhat chciał wcześniej zapytać o dobrego przewodnika, ale mag mógł wiedzieć znacznie więcej. W końcu czarodziej wybierający się do lasu zwraca uwagę na nieco inne szczegóły, niż przeciętny tropiciel, szczególnie w okolicy tak bogatej w naturalną magię. Chyba, że ten tutejszy mag

rzeczywiście jest starym sklerotykiem, któremu nie chce ruszać się z domu, nawet po składniki najbardziej pospolitych mikstur.

- Bo ja wiem, panie... - wzruszył ramionami wójt. - Wolę nie mieszać się do spraw magów.

Rosenkhat uśmiechnął się drwiąco. Poglądy Egresy nie były niczym niecodziennym.

- Sądzę, że to bardzo zdrowe podejście. - Czarodziej pochwalił brzuchatego wójta. - Postępuj tak dalej, a być może dożyjesz setki. O ile wcześniej nie trafi cię apopleksja, ze względu na dietę i fajkowy nałóg, rzecz jasna.

- Eeee...tak, panie - rzekł Erges, wiedząc, że lepiej nie zaprzeczać. Szczerze się zastanawiał, skąd się w ogóle biorą tacy bezczelni czarodzieje i dlaczego ziemia nie protestuje, że musi ich nosić.

Mag nie usłyszał jednak odpowiedzi, ponieważ już był w drodze do wskazanej chaty. Dzieciaki nadal pokazywały go palcami i głośno komentowały jego warkoczyk, co powoli zaczynało go denerwować. Rosenkhat sam był jednak w dzieciństwie nieprawdopodobnym urwisem i wiedział, że jeśli nie będzie zwracał na nie uwagi, szybko się tym znudzą.

Chata nad strumieniem znajdowała się na obrzeżach wioski. Była starannie pobielona i w przeciwieństwie do pozostałych kryta w dachówką, co stanowiło we wsiach nie lada fenomen. W tym wypadku ta pozorna rozrzutność była dyktowana rozsądkiem - czarodzieje nie powinni kryć swoich dachów strzechą. Stare, ludowe przysłowie mówiło "Gdzie magowie, tam kłopotów mrowie". I przypadkowych pożarów, należałoby dodać.

Dom miał już swoje lata ("Znachor, uczeń znachora, ucznia znachora" - pomyślał Rosenkhat), ale był niezłe utrzymany, co dobrze świadczyło o właścicielu. Z zabudowań gospodarskich czarodziej dostrzegł tylko niewielki skład na narzędzia oraz kurnik. Najwyraźniej mieszkańców wioski było stać na zaopatrywanie swojego maga w odpowiednią ilość żywności.

Rosenkhat przywiązał kasztanka do jednej ze sztachet płotu i zapukał. Odgłos kroków, poparty hukiem czegoś spadającego na podłogę niewątpliwie świadczył o tym, że mag znajduje się w domu. Po chwili drzwi otworzyły się i posłaniec Gildii stanął twarzą w twarz z miejscowym czarodziejem.

- Dzień dobry, o cholera - powiedział gospodarz, a jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki. - O przepraszam...

Rosenkhat przyjrzał się mu z niejakim rozbawieniem. Czarodziej był tak młody, że jeszcze nie musiał golić się codziennie, a że najwyraźniej nie robił tego wcale, udało mu się w końcu wyhodować jakąś żałosną namiastkę zarostu. Czupryny, w kolorze nieokreślonym, nie cesał chyba od lat. Niewielka nadwaga sprawiała, że jego rysy zdawały się być jeszcze bardziej dziecinne. Poza tym, dramatycznie potrzebował jakiejś dobrej mikstury przeciwko pryszczom.

W chwili obecnej zarówno odzienie, jak i włosy gospodarza zdobiły szczątki wilgotnej, zielonej papki. Z tego, co Rosenkhat mógł wywnioskować po zapachu, w jej skład wchodziły głównie drobno zmielone liście *ahiladris*, łagodnego ziela leczniczego. Ciekawe, zdecydowanie ciekawe.

- Czyżbym przerwał jakieś doświadczenie? - zapytał zaintrygowany.

- Nie, to się stało przed chwilą... - wyjąkał młodzieniec. - Źle wyliczyłem ciśnienie energii i...się mi...homogenat wychlapał.

- Się skutecznie wychlapał. - pokiwał głową Rosenkhat, zaskoczony, że wioskowemu magowi w ogóle chce się prowadzić eksperymenty i najwidoczniej samodzielnie podnosić kwalifikacje.

- Ja w ogóle przepraszam... proszę do środka... - kontynuował młody czarodziej, nadal onieśmielony obecnością dostojnego gościa. - Jestem Markil. Markil Ósmy.

- Ósmy tutejszy mag?

- Nie, urodziłem się ósmy...

- Aha.



- Trochę tu bałagan... - uprzedził Markil, znikając wewnątrz chaty. Rosenkhat chciał odpowiedzieć, że nie szkodzi, jednak gdy znalazł się w środku i objął wzrokiem pomieszczenie, na chwilę zaniemówił. Jako żywo przypomniały mu się uczniowskie lata i jego pokój w Szkole Gildii.

Cała izba była zarzucona chaotycznie porozkładanymi księgami i papierzyskami, jakby ich właściciel przed chwilą czegoś rozpaczliwie w nich szukał. Na stole, stojącym tuż przy szeroko otwartym oknie ("Bardzo rozsądnie" - skonstatował Rosenkhat) znajdował się zestaw mocno przestarzałej, wyraźnie naprawianej domowymi sposobami aparatury doświadczalnej. Tu i ówdzie poniewierały się bliżej niezidentyfikowane szczątki żywności.

Aby dopełnić chaosu, którego nie powstydziliby się nawet awatar Purpury, należy jeszcze wspomnieć, że wszystko dookoła było upstrzone świeżym homogenatem z liści *ahiladris*.

Markil zrzucił z ławy część papierów, robiąc miejsce dla Rosenkhata, oznajmił, że zaraz wróci, i w pośpiechu udał się do kuchni. Czarodziej wolał tam nie zaglądać. Podejrzewał, że młody mag przeprowadzał w kuchni część doświadczeń i narozrabiał podobnie, jak w izbie. Posłaniec usiadł więc na ławie zgodnie z sugestią gospodarza. Miał szczerą nadzieję, że ten nieprzytomny adept sztuki magicznej mimo wszystko będzie w stanie dopomóc mu w jego misji...

Wyrm, monstrum podziemne, żywiące się minerałami i naturalną magią; kształt obły; długość: 60 - 300 łokci; kolor piaskowy do brunatnego; okres linienia spędza na powierzchni ziemi; wylinka dostarcza cennego surowca -> wyrmia skóra. Pod ścisłą ochroną.

Mała Encyklopedia Czarodziejska

Tych kilka suchych słów wyjaśniało wszystko, a jednocześnie nic, jak to bywa z opisami encyklopedycznymi. Każdy czarodziej znał opowieści o wyrmach, gargantuicznych stworach leniwie spędzających stulecia pod ziemią. Jako jedne z niewielu istot pożerały i ogniskowały w sobie naturalne prądy magii, czyniąc je głównym źródłem podtrzymania swojej egzystencji. Podejrzewano, że były jedną z pozostałości po dawno minionych czasach tajemniczego Imperium Nighaneerskiego - ale generalnie starożytnych Ciemnoskórych podejrzewano o wszystko, co nie dawało się wyjaśnić zwykłą logiką. Dzisiejsi Nighaneerowie natomiast nie mieli na ten temat nic ciekawego do powiedzenia. Możliwe też, że wyrmy pojawiły się na kontynencie w wyniku pęknięcia Osnowy świata, tak jak mordercze Potęgi lub rasa zapobiegliwych Silvirów. Rosenkhat wierzył, że były po prostu cudem natury, czymś obecnym na Tir'nay od zawsze, nieodmiennie wprawiającym kolejne pokolenia w pełne szacunku zdumienie.

W zwykłych okolicznościach pożywiający się wyrm nie zmieniał miejsca pobytu. Tkwił pod ziemią, przy czym zamiast zagrzebywać się na całą głębokość, usypywał nad sobą kopiec. Pół wyrma znajdowało się więc pod powierzchnią gruntu, natomiast drugie pół udawało pagórek - czasem przez sto lat, częściej i dłużej. Kiedy zbliżała się pora wylinki, stwór wychodził na powierzchnię, zrzucając z siebie cały pagórek tak łatwo, jakby strząsał pchłę z grzbietu. Pozostawał odsłonięty przez następne kilka tygodni, stary pancerz obsychał na nim lekko i odchodził płatami z ciała. Zaś wyrm przesuwiał się niesłychanie powoli, zmieniając miejsce żeru i spokojnie rósł.

Dookoła niego robiło się natomiast wyjątkowo niespokojnie.

Otóż stary wyrmi pancerz był poszukiwanym, niezwykle cennym surowcem. Kowalny, a po przetworzeniu twardszy od silwirskiej stali, lekki jak воск, jednocześnie elastyczny i wytrzymały, izolujący przepływ magii na podobieństwo sertalinu nadawał się do całego szeregu zastosowań. Zbroja wykonana z wyrmiejskiej skóry czyniła wprawne wojownika niemal niepokonanym. Magiczna aparatura z wyrmiejskiej skóry nigdy się nie tłuła. Odpowiednia obróbka wyrmiejskiej skóry pozwalała na uzyskanie przedzy, z której pleciono tkaninę cieńszą niż południowy jedwab, wytrzymałą niż żaglowe płótno, odporną na ogień i nie nasiąkającą wodą. Niejeden kapitan oddałby duszę mrocznym siłom za żagle z wyrmiejskiej skóry.

Królewskim prawem, pancerz wyrma należał się temu, kto znalazł go pierwszy. W kwestiach spornych obowiązywała zasada równego podziału. Zważywszy, że - przeciętnie - za całość skóry można by kupić kilka warownych zamków wraz z przyległościami, stawka była wysoka. Tak więc w wypadkach, gdy wieść rozniosła się szerzej wybuchały istne miniaturowe wojny.

Gildia Sztuk Magicznych, jako instytucja dbająca o pokój i dobro narodu, nie mogła oczywiście pozwalać na to, by podobne sytuacje miały miejsce. Ponieważ wyrmy były stworzeniami magicznymi, skomplikowane obliczenia i rytuały przeprowadzane przez specjalny wydział czarodziejów pozwalały przewidzieć, kiedy stwór postanowi wyjść na powierzchnię - z dokładnością do kilku dni. Miejsca ich pobytu znano zwykle ze starannie sporządzonych kronik. Wspaniałomyślna Gildia Sztuk Magicznych uwalniała zatem ludzkość od kłopotu, wysyłając z pewnym wyprzedzeniem swojego posła i upewniając się, że zgarnie zdobycz, nim ktokolwiek się zorientuje. Zgodnie z obowiązującym prawem rzecz jasna.

Życie byłoby więc piękne, gdyby nie pewien mały problem - nie tylko czarodzieje potrafili przewidzieć, kiedy i gdzie pojawi się wyrm...

Podążali w milczeniu za przywódcą karawany, powoli i ostrożnie przeprowadzając swoje wozy wzdłuż doliny, porośniętej wyprążoną letnim słońcem łąką. W ich zdeterminowanych, ponurych spojrzeniach było coś wysoce niepokojącego. Jeden z wędrowców nastąpił na gniazdo szerszeni, jednak nawet nie zwrócił na to uwagi. Owady, zamiast atakować, uciekały spłoszone.

Rozlokowali się pod północnym zboczem, przy brzegu niedużego jeziora. Ustawiali wozy w krąg i metodycznie rozpościerali namioty, nie wypowiadając przy tym ani słowa. Przywódca stał pośrodku z ramionami skrzyżowanymi na piersi i spoglądał w kierunku zachodzącego słońca.

Czekało ich wiele pracy.

Rosenkhat od niechcienia przeglądał leżące na stole książki i uśmiechał się na widok znajomych tytułów. "Materia, Forma i Osnowa - filozofia istnienia świata"; "Istota Dziewięciu Słów" - nad tymi dwiema cegłami spędził pół pierwszego roku, starając się przetrwać zawartą w nich wiedzę i zrozumieć, o co właściwie chodzi w tej całej magii. Wracał do nich za każdym razem, kiedy trzeba było przypomnieć sobie podstawy, na ogół przy poznawaniu nowych teorii. "Prądy Magii Naturalnej i Wewnętrznej" - trudna lektura. Czytając tę książkę, należało się zaopatrzyć w dużą dawkę wytrwałości oraz słownik techniczny -

autor założył z góry, że czytelnik ma tak szeroką wiedzę, jak on sam. "Gesty i zaśpiewy" - ta była zdecydowanie przestarzała, jeszcze sprzed reformy rideriańskiej. Stary system narzucał czarodziejom zupełnie, jak się okazało, niepotrzebną dyscyplinę. Aby wykonywać gesty wedle dawnych instrukcji, mag musiał dorównywać gibkością dłoni trubaduirom, co w oczywisty sposób wydłużało czas nauki. Tymczasem ukierunkowanie mocy zależało przede wszystkim od woli czarodzieja.

Właściwie, to Markil odziedziczył całkiem pokaźny spadek po poprzednich wioskowych czarodziejach. Sądząc z tych zbiorów, pierwszy z nich był najpewniej nieudanym absolwentem Szkoły Gildii. Ostatni nie umiał chyba zbyt wiele lub też zbyt szybko zmarł, skoro młody mag douczał się sam.

Markil wrócił, niosąc dwa kubki, półmisek z chlebem i serem oraz - o radości - dzbanem piwa. Rosenkhat skwapliwie podstawił kubek, po czym stwierdził z zadowoleniem, że gospodarz rzucił na piwo zaklęcie chłodzące. Właśnie takiej gościnności Rosnekhat potrzebował.

- Jeszcze raz przepraszam Mistrza za bałagan...- odezwał się Markil, siadając obok. - Pracowałem nad czymś i wyleciało w powietrze... - Tutaj w oczach młodego maga pojawił się błysk. - Czy zna się Mistrz na przepływie naturalnej magii roślinnej...?

- Czy ja się znam...! - Rosenkhat zadarł nosa. - Przecież to był temat mojej pracy dyplomowej.

- W takim razie mam zapewne do czynienia z Rosenkhatem Darantianem! - Markil niemal podskoczył na ławie.

- Owszem. Proszę wybaczyć, nie przedstawiłem się...

- Czytałem pańską monografię... - Jego gospodarz najwyraźniej nie zwrócił uwagi na to uchybienie etykiety. - Udało mi się ją zdobyć rok temu na targu w mieście. Jest rewolucyjna...!

Komplement mile polectał ego Rosenkhata.

- Cóż, wysunąłem kilka nowych koncepcji, ale rewolucyjną to bym tej pracy nie nazwał. Prawdę mówiąc, jeśli twoje książki pochodzą sprzed reformy rideriańskiej, możesz mieć spore zaległości w niektórych dziedzinach. Na przykład rytualne gesty można upraszczać bez szkody dla efektów zaklęcia. Dla wprawnego czarodzieja gesty i wypowiedane na głos Słowa nie są konieczne, przynajmniej w wypadku prostych czarów. Oczywiście, całkowita rezygnacja z tych elementów podnosi ilość energii, jaką wydatkujesz...

Był to zaledwie wstęp do jednej z tych długich, fachowych dyskusji przy piwie, które czarodzieje i czarodziejki potrafią prowadzić godzinami. Perorował głównie Rosenkhat, zaś Markil słuchał i zadawał pytania. Kiedy wreszcie zorientowali się, że warto by było posprzątać i rozłożyć jakieś sienniki, za oknem dawno zrobiło się ciemno.

- Gildia, to jest dopiero życie dla czarodzieja - westchnął Markil, zeskrobując zieloną papkę z okładki "Istoty Dziewięciu Słów". - Jak pan sądzi, Mistrzu Rosenkhat, czy mógłbym tam się jakoś dostać?

- Szczerze wątpię - wyznał czarodziej. - Żeby dostać się w szeregi Gildii, trzeba mieć cholerny talent, mnóstwo pieniędzy albo możnego protektora. Nie zaszkodzi wszystko naraz. Jakbyś był trochę młodszy, to jeszcze mogliby cię zarekrutować do Szkoły, ale w twoim wieku...na eksternistyczny trzeba mieć rekomendację...

- Szkoła Gildii... - westchnął Markil. - Wiele straciłem...

Rosenkhat milczał dyplomatycznie. Chłopak nie przetrwałby w Szkole nawet kwadransa. Pracowity, naiwny i pełen pasji do nauki. Takich jak on zjadano tam żywcem.

- A czy pan mógłby za mnie poręczyć...?

- Ja??? - Rosenkhat wytrzeszczył oczy. - To by oznaczało przyjęcie cię do terminu, a ja przecież nawet nie wiem, co potrafisz. Może to zabrzmi ostro, ale istnieje całkiem spora szansa, że masz zaległości nie do nadrobienia. Poziom nauki jest u nas dosyć wysoki... - to była prawda, a ponadto ostatnią rzeczą, jakiej by Rosenkhat teraz sobie życzył, była kula u nogi w postaci ucznia. O ile młodszych kandydatów na adeptów magii nauczano w grupach, o tyle nad edukacją starszych czuwali opiekunowie - Mistrzowie dzierżawiący w Gildii pracownię. Rosenkhat nadal odpracowywał swoją naukę. Jak do tej pory, dość skutecznie wyłgiwał się od obowiązków pedagogicznych i miał nadzieję, że nikogo mu w najbliższym czasie nie przydzielą.

- To ja pomogę panu w tej misji! - oświadczył chłopak z determinacją. - Proszę mnie zabrać ze sobą, dając słowo, że się wykażę.

- Jakiej misji? - spłoszył się czarodziej ("Czyżby zwęszył pismo nosem?")

- No, w jakiejś misji pana tutaj wysłali.

Rosenkhat lekko się stropił, stwierdzając, że najwyraźniej popada w paranoję.

- Misja jest ściśle tajna i gdybym zabrał kogokolwiek postronnego, skończyłbym przed sądem Rady. Natomiast byłbym bardzo wdzięczny za dokładne informacje w temacie topologii terenu najbliższych okolic. Co do twoich umiejętności, można je przecież przetestować już po sprawie. - Czarodziej wiedział, że będzie to czysta formalność. Taki wiejski samouk jak Markil nie miał szans na sprostanie wymaganiom.

Tymczasem chłopak najwyraźniej wziął jego słowa za dobrą monetę, ponieważ natychmiast zabrał się do przeszukiwania półek z książkami.

- Gdzieś tam jest całkiem dobra mapa, naszkicowana przez starego Atheryana. Był niezłym czarodziejem, niestety, wziął mnie do terminu, kiedy już umysł zaczął mu nieco szwankować.

- Aha. - Rosenkhat postanowił tego nie komentować.

- Ale mapa jest dużo wcześniejsza. Atheryan mówił, że muszę ją mieć pod ręką, żeby w razie czego być przygotowanym.

A więc staruszek doskonale wiedział, co się święci. Całe szczęście, że nie zdążył przekazać tego dalej.

- Co prawda - dokończył Markil, wyciągając spośród ksiąg gruby brulion. - Nigdy się nie dowiedziałem, na co. Atheryan całkowicie zdziwaczał na starość. Szukał sposobu na długowieczność. Twierdził, że powinien być się urodzić pięćdziesiąt lat później. Hm, i tak sobie myślę, że skoro pan tu przyjechał, coś w tych rojeniach musiało być. Czy ta misja jest niebezpieczna?

- Bardzo - potwierdził skwapliwie Rosenkhat.

- To znaczy, że wiosce zagraża niebezpieczeństwo, któremu pan ma zapobiec?

- Tak. Właśnie tak jest. - W zasadzie czarodziej nie kłamał. Ewentualna wojna o skórę wyrma zdecydowanie stanowiła zagrożenie dla wioski.

- W takim razie bardzo się cieszę, że mogę się na coś przydać! - zawołał Markil z entuzjazmem. - Naprawdę, jestem zaskoczony, że mój mistrz był takim altruistą. Pomyśleć, że cały czas dręczyła go świadomość o niebezpieczeństwie, które trzeba będzie powstrzymać wtedy, gdy on już odejdzie do Krain Szczęśliwości.

Rosenkhatowi zrobiło się żal chłopaka. Jakież on miał nikłe pojęcie o tym okrutnym świecie.

- Hm, tak, jestem pewien, że dałoby się powiedzieć o nim coś miłego. Niech Sol i Selene mają go w opiece.

Markil skinął głową z zadumą. Prawdę mówiąc, niewiele dobrego można było powiedzieć o starym Atheryanie. Nieżyjący czarodziej był dokładnie takim rodzajem wioskowego maga, jakich Rosenkhat skwapliwie unikał.

- Kiedy pan już obejrzy mapę, proszę odłożyć ją na miejsce - rzekł chłopak. - Ja tu jeszcze muszę posprzątać...

Poranny świergot ptaków usypiał Rosenkhata i nie pozwalał mu skupić myśli.

- *Drall kharann*, dlaczego one ćwierkają? - mruknął czarodziej, który tego dnia wstał stanowczo zbyt wcześnie, by czuć się dobrze. Ponownie przeglądając zawartość swojego paska z akcesoriami magicznymi, zerwał od niechcenia szeroki liść tallerium i ziewnął lekko. Z liścia spadła równie zaspana gąsienica i odbiła się od źdźbeł zeschniętej trawy, z przerażenia zwijając się w kulkę.

Rosenkhat siedział w cieniu drzew, na zboczu niewysokiego, lecz rozległego pagórka i odpoczywał przed podjęciem dalszej drogi. Nie odszedł jeszcze zbyt daleko od wioski, nie spieszył się jednak szczególnie. Jego flegmatyczny kasztanek korzystał z okazji i obskubywał jakieś krzewinki.

Mapa, którą czarodziej przejrzał poprzedniego wieczoru, była znakomita. Stanowiła efekt wielu lat wyteżonej pracy. Rosenkhat nie mógłby wymarzyć sobie czegoś lepszego. Wystarczyło jedynie porównać z nią dane, jakie miał z własnej mapy oraz kronik, i już można było precyzyjnie określić, pod którym pagórkiem śpi wymr. Bez dodatkowego typowania, oględzin, kluczenia. Czarodziej zdążył więc prosto do celu. W najlepszym wypadku po prostu rozbije obóz w dolinie i będzie czekał. Nie zamierzał jednak dłużej pozostawać w wiosce - po co kusić los? Zresztą postanowił, że wyruszy, zanim jeszcze upał stanie się całkiem nieznośny.

Rosenkhat pozbierał mieszki oraz flakoniki, przeciągnął się i wstał, dosiadł kasztanka i spokojnym kłusem ruszył przed siebie. Jasny warkoczek podskakiwał mu na plecach.

Przewężenie doliny znajdowało się niedaleko; świetlisty zagajnik młodych drzew sięgał tam aż do strumienia. Grzybowe miejsce, pomyślał Rosenkhat z zainteresowaniem. Gdyby tylko trochę popadało...a i zwierzyna musi tu przychodzić. W strumieniu natomiast pewno roi się od sinv, ryb o wyjątkowo delikatnym mięsie. Żeby taką sinwę, świeżutką, z masełkiem...Czarodziejowi zaburczało w brzuchu. Trzeba wybrać się tu kiedyś i powędkować, jak będzie trochę czasu.

Ostrzeżenie nadeszło nagle. Silne wrażenie obecności Purpury sprawiło, że Rosenkhatowi włoski zjeżyły się na rękach. Instynktownie rzucił się na ziemię; czas był najwyższy, gdyż w ułamek sekundy później siodło zostało zerwane przez sześciolapego, pokrytego czarnym futrem, stwora o błoniastych skrzydłach.

- O żesz...! - jęknął mag, lądując na twardej ziemi. Rzucone uprzednio zaklęcie - niewidzialna zbroja - uaktywniło się natychmiast, kilka błękitnych iskier zamigotało w powietrzu. Czarodziej zaklął. Miał do czynienia z bivistem, potworem stworzonym przez Purpurę, nieustępliwego wroga rodzaju ludzkiego i innych ras rozumnych.

Kasztanek zarżał w panice i pogalopował naprzód. Stworzenie rozdziawiło długą paszczę, pełną drobnych, spiczastych zębów. Zastanawiało się, co pożreć najpierw - człowieka, czy konia.

Rosenkhat wykorzystał ten moment wahania i machnął dłonią, nie tracąc czasu na inkantację. Dookoła skrzydlatego stwora wykwitła kula płomieni, osmalając jego sierść. Bivist syknął tylko i wyfrunął z pułapki.

- Niech go szlag...! - Do tej pory czarodziej oglądał te stwory tylko na kartach ksiąg. Jak na istotę Purpury, ten i tak zapuścił się daleko na zachód. Uczucie, które mag określał jako rodzaj psychicznego smrodu, było niesłychanie silne, tłumilo zmysły.

Bivist zapikował. Rosenkhat odtoczył się na bok i ponownie złożył dłonie do zaklęcia. Ciężka, żółtawa substancja o konsystencji kisielu zmaterializowała się wokół potwora. Ten załopotał skrzydłami, ale wzbic się w górę nie mógł; kleista maź krępowała jego ruchy. Czarodziej nie tracił czasu. Postanowił użyć pełnej mocy jednego z potężniejszych zaklęć.

- *Xan ab naváy, gaya ab aure, verli ab itris, vel tinél...*

Z kępy młodych drzewek wypadły dwa kolejne bivisty na pomoc kompanowi.

- Rozmnożyły się, czy co?! - jęknął mag w tym samym momencie, w którym garść jego kryształowych ostrzy przeszła potwora na wylot. Z ran popłynął przejrzysty płyn, ale bivist nadal się ruszał. I to dość energicznie. Nie mówiąc już o tamtych, które zachodziły czarodzieja z obu stron.

Rosenkhat nie zamierzał się patyczkować.

- *Drall kharann!!!* - ryknął, krzyżując ręce na piersi i wyrzucając je wprzód w szerokim geście. Przepiękny krąg wyładowań elektrycznych złapał w swój zasięg obydwu zdrowe bivisty. Stwory padły na ziemię w drgawkach, obficie dymiąc.

Czarodziej właśnie miał zamiar dobić i trzeciego, gdy ten niespodziewanie gwałtownie uniósł się w powietrze, a następnie z potwornym chrupnięciem spadł z wysokości na kamieniste dno strumienia. Co niemal dosłownie rozerwało go na pół.

- E...? - zdumiał się Rosenkhat.

- Witaj, Złośliwczu! - ozwał się z góry słodki głos. - I co, znowu ratuję ci skórę?

Czarodziej zadarł głowę. W powietrzu unosiła się młoda, ciemnowłosa kobieta w czarno-szarej szacie Selenites.

- Kopę lat, Tash! Nadal kurujesz trądzik na nosie?

- Impertynent.



- Dla ciebie zawsze i wszędzie, kochanie. Złazisz tu na dół czy mam sam wylewitować?

Tasheyna, nie tylko ładna, ale i uzdolniona Selenistka, powoli wylądowała na trawie obok czarodzieja.

Rosenkhat wcale nie cieszył się z tego spotkania. Nawet jeśli znał konkurencję - a trzeba było przyznać, że przez pewne dwa zimowe miesiące była to znajomość dosyć zażyła - to wcale nie zmieniało sytuacji na lepsze. Nie przybył tu jako pierwszy. Co prawda wymr nadal spał, więc niczego jeszcze nie rozstrzygnięto, ale...

- Nie do twarzy ci z warkoczykiem, Rosenkhat - rzekła Tasheyna.

- Nie tak, jak tobie w tym worku pokutnym - odciął się czarodziej. - Gdybyś chociaż nie nosiła pod nim spodni, byłoby co oglądać podczas lotu.

- Głową, Złośliwce, to ty nie myślisz - mruknęła Tash, mrużąc piwne oczy.

- Ależ skądże znowu, ja mam po prostu podzielną uwagę - uśmiechnął się Rosenkhat. - I cóż cię tutaj sprowadza, moja droga?

- A...grzybów szukam. Na zupełną grzybową - odpowiedziała Tasheyna.

- No proszę, widzisz, coś takiego - pokiwał głową czarodziej. - Ja też, tak się składa, na grzyby. Takie wiesz, co pod ziemią rosną. Jak to się one zwąły?

- No to znakomicie - Selenistka uśmiechnęła się kąśliwie. - Bo żeby je znaleźć, potrzeba prosiaka. A ja tu jednego widzę... co ty do demonów wyprawiasz?!

W trakcie jej przemowy, Rosenkhat zbliżył się do strumienia i oglądał poharatanego bivista. Stwór nie przypominał zwykłego martwego zwierzęcia. Przede wszystkim nie miał w sobie żadnej krwi, a jedynie bezbarwny płyn; splecione arterie, przerośnięte jednolitą, gąbczastą tkanką były różnokolorowe. W miejscach, gdzie zostały przerwane, wystawały z nich pęczki przezroczystych żyłek. Czarodziejowi zdało się, że w dwóch czy trzech miejscach zobaczył metaliczny poblask.

- Ciekawe.

- Nawet tego nie dotykaj - oświadczyła Tash zdecydowanie. - Możesz zarazić się Purpurą.

- Właśnie, ze strachu przed zarażeniem nigdy nie zrobiono sekcji czegoś takiego - mruknął mag. - A podobno Purpura przenosi się przez krew. To coś nie ma normalnej krwi. Może Purpura nie potrzebuje zarażać swoich własnych stworzeń i one nie mają zarodników.

- Ja bym nie ryzykowałam - rzekła Tasheyna z lekkim drżeniem w głosie. - To świństwo jest cholernie zaraźliwe, działa równie dobrze na ludzi, Nighaneerów i Tsaji, jak też na konie czy króliki. Odrobina zarodników i już jedyne pragnienie twojego życia to służyć Purpurze.

- Nie jestem ranny, więc nic mi nie grozi - zaprotestował Rosenkhat, ale nie dotknął żadnego ze stworzeń. Zbada je kiedy indziej. Jego zdaniem, ludzie zbyt mało wiedzieli o Purpurze. Tyle tylko, że jej celem była nieustanna ekspansja. Żołnierzami tej dziwnej siły były zarażone żywe stworzenia oraz rozmaite potwory rodzące się w kopcach - przyczółkach. Nikt nie wiedział, czy Purpura ma jakiegoś przywódcę. Zjawisko otrzymało taką nazwę ze względu na purpurowy kolor aury zakażonych i stworów, zaobserwowany przez Selenites. W Aldianie barwa purpurowa budziła więc najgorsze skojarzenia - walczone z tą plagą dostatecznie długo, by purpura stała się kolorem żałoby.

- Hej Tash, jak mocno to świeci...?

- Cała okolica świeci Purpurą - mruknęła Tasheyna. - Tak zaznaczyły teren swoją energią, że przez najbliższe kilka dni nie będę mogła wyróżnić zarażonych. Jeszcze jestem marna, jeśli chodzi o subtelności aury, szybko się męczę.

- Mój system wczesnego ostrzegania też się zużył - mruknął Rosenkhat. - Wszystko mi tutaj cuchnie Purpurą, nawet ty.

Tasheyna prychnęła z oburzeniem.

- Tym razem nic złośliwego nie miałem na myśli - zapewnił ją czarodziej. - Rzuciłem na siebie specjalistyczne zaklęcie ostrzegawcze, informuje o większości niebezpieczeństw. Fakt, zadziało, ale zanim te dzwony w mojej głowie się uspokoją, minie trochę czasu. W końcu trupy nadal tu leżą i śmierdzą. Dosłownie i w przenośni...

- Jak sądzisz, po co one tu przybyły...? Od wschodniej granicy trochę daleko...

- No cóż, kochana... - Rosenkhat uniósł brwi. - Zastanawiam się, czy przypadkiem nie szukają grzybów...

- Purpura? Po co? - zdumiała się Tash.

- Skoro ja się trudzę dla Gildii, a ty dla królowej, to może i stwory Purpury zapragnęły zupki grzybowej - powiedział czarodziej z namysłem.

- Ten dowcip o grzybach już się zestarzał, wymyśl coś innego - westchnęła Tasheyna z irytacją. - Albo idź na grzyby.

Rosenkhat rozejrzał się wkoło. Gdyby nie trzy trupy bivistów w pobliżu, zagajnik wyglądałby wręcz urokliwie. Zerwane przez pierwszego z napastników siodło razem z sakwami podróżnymi leżało w kępie krzaków. Konia nie było nawet widać. Czarodziej przez dłuższą chwilę przepakowywał swój bagaż, starając się tak powiązać siodło oraz sakwy, aby można je było zarzucić na plecy i w miarę wygodnie nieść.

- *Tharve leta, vel natul*- sakwy stały się mniej więcej dziesięciokrotnie lżejsze.

- Nie ma co, piękny początek dnia... - westchnął Rosenkhat, mocując bagaż na plecach. - Seleniści, Purpura, a na dodatek koń mi gdzieś nawiał. Nie ma co zwlekać, idziemy na piechotę. Razem. Jakżeś się tu zaplątała, to cię przecież nie utłukę, we dwójkę zresztą bezpieczniej. Zasadniczą kwestię własności rozstrzygniemy, jak będzie i skóra do podziału. A na razie miejmy się na baczności, to mogła być tylko fort pocztą.

- Jesteś jak zwykle genialny - stwierdziła Tash ironicznie.

- Ależ ja o tym doskonale wiem...

Tymczasem gdzieś w oddali, na zboczu pagórka, za dużym iglakiem przyczała się zagadkowa postać. Człowiek ten - gdyż najprawdopodobniej była to istota ludzka - obserwował całą scenę z bezpiecznej odległości, za pomocą lornetki. Gdyby magicznie wzmocnione zmysły Rosenkhata nie zostały zagłuszone nadmiarem wrażeń ze strony Purpury, czarodziej zapewne zorientowałby się natychmiast, że ktoś go śledzi...

- Świeże ślady kół... Jechali pewnie z południowego wschodu - mruknął Rosenkhat, lustrując wzrokiem poźółkłą, wygniecioną trawę. Było wczesne popołudnie. Przeszli już całkiem spory kawał drogi od zagajnika; kłucząc dolinami, odeszli w prawo od strumienia. Lejący się przez cały dzień z nieba żar zdecydowanie pogarszał humor czarodzieja. Rosenkhat cały czas trzymał się wskazówek mapy - swojej własnej z naniesionymi poprawkami według Atheryana. Nie wyjmował jej jednak, ku wyraźniej irytacji Tasheyny. Mag miał znakomitą pamięć i wyobraźnię przestrzenną. Na początku podróży jeszcze raz pobieźnie przejrzał mapę i to mu wystarczyło.

- Wielka mi sztuka, wytropić tabor wozów... - parsknęła Tash.

Czarodziej z trudem powściągnął chęć uciszenia Tasheyny jakimś zaklęciem. Od początku liczył się z tym, że Zakon Sol i Selene, bezpośrednio podległy królowej wysła na miejsce swojego przedstawiciela - i to najpewniej Selenistę, a nie rycerza Sol. Dysponując pewną ilością adeptów z talentem prekognicji, Zakon miał swoje metody na wytyczenie miejsca i czasu pojawienia się wyrma. Rosenkhat pamiętał, że Tash nigdy nie umiała przewidywać przeszłości, była natomiast znakomita do akcji bezpośrednich, z wystarczająco silnymi zdolnościami telekinetycznymi, aby bez problemu unosić się w powietrzu - oraz z pewnym talentem telepatii. Mając to na uwadze, czarodziej otoczył swój umysł kilkoma silnymi czarami ochronnymi. Zaklęcie - zbroja działało nadal, wywołując okazjonalne iskrzenie się powietrza; nie musiał go ponawiać.

- Zamiast się mądrzyć, wylewituj nas w górę, to zorientujemy się w sytuacji.

- Nie mam zamiaru marnować sił - oświadczyła Tasheyna. - Jak koniecznie chcesz, to użyj własnego zaklęcia.

- Prędzej czy później to właśnie zrobię... - odrzekł Rosenkhat, obserwując szlak, biegnący w górę i w dół, wijący się pomiędzy pagórkami. - Albo mamy do czynienia z Purpurą, albo z kolejnym graczem w tym interesie i zupełnie przestaje mi się to podobać. Jak myślisz, ile jeszcze bivistów może siedzieć tam w lesie? - czarodziej wskazał ręką w kierunku zalesionego zbocza.

- A skąd mam wiedzieć, co ja jestem, jasnowidz?

- O ile pamiętam to nie, ale ja jestem czarnowidz - stwierdził Rosenkhat. - Myślę realistycznie. Purpura lubi uderzać grupą. Jak nie potwory, to zarażeni niewolnicy. Jeśli przyszli tu po to, co my, to nie odpuszczą tak łatwo.

- No dobrze, przyznam ci rację, w twoim rozumowaniu jest pewna logika - powiedziała kwaśno Selenistka. - Sprytny to ty zawsze byłeś, tylko skąd tak nagle znasz się na taktyce Purpury?

Rosenkhat wybałuszył oczy.

- O co ci chodzi?

- Znalazłam cię wtedy, kiedy biłeś się z bivistami. Dookoła było tyle purpurowej aury, że nawet teraz nie umiałabym stwierdzić, czy nie jesteś zakażony...

- I nie zaaranżowałam tej sytuacji, to masz na myśli? - prychnął Rosenkhat. - Co za bzdury, musiałbym być wtedy Selenistą lepszym od ciebie i wiedzieć, kiedy nadlatujesz. Tash, złotko, masz sporą moc, ale mózg chyba wielkości orzeszka. A wiesz dlaczego? Bo spuchł.

- Oż ty kanalio, ja cię chyba zaraz... - zagotowała się Tasheyna.

- Nie zrobisz tego - rzekł wesoło czarodziej. - Wciąż masz do mnie sentyment, inaczej nie ratowałabyś mnie przed bivistami...

Selenistka zrobiła taką minę, jakby miała za chwilę eksplodować. Wyraźnie zabrakło jej słów. Nastąpiła chwila ciszy, zmaconej jedynie wrzaskiem dwóch szarych atyaanes kłócących się w koronie najbliższego drzewa oraz cykaniem świerszczy w trawie dookoła.

- Darujmy sobie krotchwile i weźmy się wreszcie do roboty - odezwał się w końcu czarodziej z szerokim uśmiechem. - Pamiętaj, że pracujemy razem tylko dopóki przeszkadza nam Purpura. Potem nie będę się wzdragał przed użyciem ofensywnej magii.

- I odwrotnie. - mruknęła Tash. - Hej, do demonów, co ty...?

- Xan vel natuí, ab neh tinél et leta, neh gaya...

- Lewitacja... - westchnęła Selenistka z rezygnacją, rozpoznając zakłęcie i widząc, jak jej stary znajomy zgrabnie unosi się w górę. Natychmiast poszła za jego przykładem, używając własnej mocy.

Lewitowali prawie sto stóp ponad szczytem najbliższego pagórka, z góry obserwując okolicę. Gdyby nie okoliczności, mogliby zatrzymać się na dłuższą chwilę w powietrzu i podziwiać panoramę. Wzgórza Ethayaane były niesłychanie malownicze; pominąwszy okolice wioski, lasy ciągnęły się aż po horyzont. Młodsze i starsze obszary puszczy różniły się barwą liści, tworząc razem unikalną mozaikę; nieliczne łąki stanowiły jej urozmaicenie. Strumień, który minęli wcześniej iskrzył się w blasku słońca. Niedaleko przed nimi lśniło niewielkie, jezioro o krętej linii brzegowej; tuż przy jego brzegu Rosenkhat dostrzegł delikatną smugę dymu.

- Mam ich - oświadczył z satysfakcją. Ktokolwiek to był, wiedział, gdzie się zatrzymać. Pagórek, przy którym obozowała konkurencja czarodziej zidentyfikował wcześniej jako ten właściwy. Fachowcy, pomyślał z podziwem Rosenkhat. - Mam nadzieję, że nie robisz mnie w konia i to nie są twoi znajomi Solaryści...?

- A od kiedy tak mi ufasz? - burknęła Tasheyne.

- Nie ufam - rzekł czarodziej z uśmiechem, poprawił sakwy na plecach i złapał Selenistkę za rękaw.

- Hej, co robisz?! - zawołała Tash z oburzeniem. - Zboczeniec!

- Zamknij się i za mną! - syknął Rosenkhat, gwałtownie zniżając lot w kierunku jeziora. Ciągnął za sobą schwytaną Selenistkę, która bezskutecznie próbowała się wyrwać. Zbliżyli się w kierunku tafli wody z zastraszającą prędkością, po drodze omal nie zderzając się ze stadem wron. Gdyby ptaki umiały mówić, posłałyby w ich kierunku sporą porcję niewybrednych uwag.

- Rosenkhat! Ty chcesz mnie zabić!!!

- Chcę nas ukryć, głupia! Trzymaj się teraz mocno, rzuciłem zakłęcie!

Tasheyne zacisnęła powieki, podświadomie oczekując zderzenia. Chwilę później, orientując się, że już nie czuje oporu powietrza, powoli otworzyła oczy.

Natychmiast przekląła własną bezmyślność. Rosenkhat zastosował czar równie popularny w pewnych kręgach, jak zakłęcia ognia. Znajdowali się pod powierzchnią wody, zamknięci w przejrzystej bańce wypełnionej powietrzem. Dookoła nich falowały wodorosty; ryb na razie nie było widać, najwyraźniej spłoszyły się nagłym pojawieniem się niezidentyfikowanego obiektu. Widoczność była raczej mizerna, mulista woda miała lekko zielonkawy kolor. Tasheyne poczuła, jak narasta w niej panika.

- Tu muszą być karasie - stwierdził czarodziej, całkiem zadowolony z siebie.

Tego już było zbyt wiele dla Selenistki.

- Ty kretynie!!! Kutafonie pieprzony!!! Ty samczy durniu!!!

Ściany magicznej bańki znakomicie zwielokrotniły głos Tash. Rosenkhat zatkał uszy i skierował ku niej wzrok pełen cierpienia.

- Zamknij się, idiotko, robisz rezonans.

- Sam się zamknij, dupku malowany!!! Wypuść mnie stąd!

- Już się robi. Utopisz się i będzie jeden kłopot mniej.

Tasheyne umilkła i głębiej rozważyła okoliczności.

- Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić - jęknęła. - Tutaj jest nieznośnie ciasno!!!

- Co za epokowe odkrycie - sarknął czarodziej. Uszy nadal go bolały. - Kto, do wszystkich demonów, uczy tych głupich Selenites?

- Ktoś, kto nie każe nam nosić takich niegustownych warkoczyków - mruknęła Tash.

- Odczep ty się łaskawie od mojego warkoczyka - zirytował się Rosenkhat. - I stul buzię na kilka chwil, bo myślę.

- Myślisz, rzeczywiście rzadkie zjawisko - skomentowała Selenistka. Czarodziej puścił tę uwagę mimo uszu, pochłonięty szukaniem czegoś w przytroczonej do pasa sakiewce. W końcu wyciągnął z niej niewielkie, okrągłe szkieleko i przyjrzał mu się z zadowoleniem.

- Taaak, to będzie dobre.

- Co będzie dobre...? - zaciekała się Tasheyne, wyraźnie odzyskując równowagę.

- Niespodzianka - wyszczerzył zęby Rosenkhat, najwyraźniej czerpiąc czystą przyjemność z wprowadzania Selenistki z równowagi.

- Mam po dziurki w nosie twoich niespodzianek - rzekła Tash. - Współpracujemy w końcu, czy nie?

- Domyślałaś się, co chcę zrobić, czy mam wytłumaczyć? - Rosenkhat wiedział, że Selenistka w tej chwili zdana na jego łaskę i niełaskę. Sprawiało mu to satysfakcję, musiał jednak przyznać sam przed sobą, że bez współpracy Tash się nie obędzie. Wrażenie obecności Purpury nie wyciszyło się od momentu napotkania bivistów; istniało kilka możliwości wyjaśnienia tego zjawiska. Czarodziej po raz pierwszy w życiu natknął się na Purpurę i nie wiedział, jak powinien działać czar w stosunku do tego konkretnego niebezpieczeństwa. Możliwe, że był zbyt czuły. Możliwe też, że śledził ich szpieg tej wrogiej siły. Decydując się na nagłe zanurkowanie w jeziorze, Rosenkhat chciał między innymi zgubić potencjalny ogon. Ponadto, czarodziej myślał o jeszcze jednej możliwości, która zdecydowanie mu się nie podobała. Liczył się z taką ewentualnością, miał jednak szczerą nadzieję, że jest inaczej...

Jeśli zaś trzecia możliwość była faktem, igrał z ogniem.

- Ależ oczywiście, usiadłam, zastanowiłam się i przejrzałam wszystkie twoje plany - wściekła się Tasheyne. - Spadając z prędkością kamienia z wysokości kilkuset stóp.

- Kamienie - zauważył Rosenkhat. - Kamienie się nie ruszają, z reguły, na ogół.

Gdyby spojrzenie Tash mogło zabijać, czarodziej w tej chwili padłby jak kawka.

- O rety. Niech ci będzie. Już wyjaśniam. Czy zauważyłaś, w jakim miejscu zanurzyliśmy się pod wodę?

- Zamknęłam oczy - warknęła Selenistka przez zęby.

Jakiś zbłąkany gyurun - okaz niespotykanej wielkości - puknął pyszczkiem w ścianę bańki i zawrócił, zdezorientowany. Rosenkhat zanotował w pamięci, że kiedyś będzie musiał wybrać się tutaj na ryby i wrócić do objaśniania sytuacji

- Otóż zanurkowaliśmy w zatoczce na przeciwległym końcu jeziora względem obozowiska naszych tajemniczych przybyszów. Moglibyśmy swobodnie do nich podpłynąć, nie zobaczą nas. My ich też nie widzimy, ale to kwestia czasu.

- Czasu? Znaczący, rzucisz jakieś zaklęcie?

- Właśnie. Doskonałe zaklęcie. Prawdę mówiąc, sam je opracowałem.

- Mogę się założyć, że jeszcze nie zostało zatwierdzone przez Gildię - mruknęła Tash. Najkrótszy czas rejestracji nowego zaklęcia, o jakim słyszała, wynosił trzy lata. Czar, którego autorem był Rosenkhat mógł jednak leżakować o wiele dłużej; starsi Mistrzowie niechętnie akceptowali innowacje, zaś młody czarodziej był znany z niecodziennych pomysłów.

- W zasadzie nie, ale o tym szał - rzekł Rosenkhat, po czym podniósł szkiełko na wysokość oczu i rozpoczął inkantację, teoretycznie narażając się na karę grzywny w wysokości od 50 do 200 aldiańskich złotych dinarów.

- *Visiée et tinél ab verli neh flavy verlirey, vel tharve leta...*

Wokół szkiełka zaczęło się rysować coś na kształt przydymionej rurki, przechodzącej przez ścianę bańki i kierującej się w górę mętnej wodnej toni. Wyglądało to niesłychanie osobliwie i Tasheyna nie mogła pojąć, co też wyprawia czarodziej, dopóki nie zobaczyła obrazu kształtującego się na szkle.

- To...są trzciny? Widzisz to, co się dzieje na powierzchni?

- A i owszem - potwierdził Rosenkhat, który spoglądał prosto w szkiełko i tym samym widział wszystko jak przez lornetkę. - Czar jest raczej siermiężny, ale skuteczny.

- Rozumiem przecież. Tylko pośpiesz się z podpływaniem, bo ja tej ciasnoty długo nie zniosę. - Tasheyna nie mogła sobie wybaczyć, że nie domyśliła się wcześniej. Jednak musiała przyznać, że mimo wszystkich swoich wad, jej towarzysz był niezwykle pomysłowym czarodziejem. Tym lepiej...

Gładkie, kremowo-białe ściany łagodnie pochylały się ku sobie, tworząc krągłe sklepienie u szczytu sali. Pośrodku pomieszczenia leniwie wirowało skomplikowane, artefakcyjne urządzenie, jedyny sprzęt znajdujący się w tej niewielkiej komnacie. Ażurowe, metalicznie lśniące sfery poruszały się w powietrzu, krążąc po orbitach o stałych, lecz dość zawiłych torach. W samym centrum znajdowała się wstęga z czystego sertainu - metalu magów, zwinięta na kształt ósemki w taki sposób, że posiadała tylko jedną powierzchnię. Wstęga obracała się wokół własnej osi, nachylonej pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Młody, jasnowłosy mistrz magii w zadumie przypatrywał się artefaktowi, którego ruch nie ustawał nawet na chwilę. Skubał koniuszek tradycyjnego warkocza, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Drzwi do komnaty otworzyły się z cichym skrzypieniem i do środka wszedł drugi, starszy mag, wysoki mężczyzna o szpakowatych, mocno już przerzedzonych włosach. Miał na sobie długą, ciemnozieloną szatę zdobioną runicznymi ornamentami oraz symbolami Gildii, a w jego sposobie poruszania się było znać dostojeństwo i autorytet. Nic dziwnego - Teevan Umterris, jeden z Rady Trzynastu był w Gildii drugi po Arcymistrzu, zarówno w kwestii mocy jak i wpływów.

- Podejrzewam, że Nishiyante nigdy ci się nie znudzi, Rosenkhat. - odezwał się nowo przybyły.

- Za każdym razem jest inna. - powiedział cicho młody mag. - Pełen cykl obrotów trwa sto osiemdziesiąt siedem lat. Nishiyante to dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć jednostek czystej magii i prawie sto siedemdziesiąt uncji czystego sertainu, ale jej piękno jest niepoliczalne. Można ją traktować jako luksusowy sprzęt do wróżenia, ale jakoś nie mogę myśleć o niej tak instrumentalnie.

- Cóż, nie jestem zbyt dobrego zdania o adeptach sztuki, których nie poruszył ten widok. - mruknął stary mag. - Czy wiesz, że kiedyś Nishiyante została skradziona?

Rosenkhat Darantian uśmiechnął się w typowy dla siebie, sarkastyczny sposób.

- Żal mi złodzieja. Ukraść taki skarb to jedno, a utrzymać to już zupełnie co innego. Ciekaw jestem, jak długo jej bronił po tym, jak sprawa wyszła na jaw.

- Dokładnie przez kwadras. - Mistrz Teevan złośliwie zmrużył oczy. - Osobiście go schwytałem.

- Biedaczek - zachichotał Rosenkhat. - Niech mu ziemia lekka będzie, chociaż sędzę, że po twojej interwencji potrzebował raczej urny niż trumny.

- Uhm - mruknął starszy mistrz. - Skubaniec służył Purpurze. Oddałbym wiele, aby się dowiedzieć, ile już artefaktów zmagazynowali i kiedy szykują najazd. Bo że działają według jakiegoś szerzej zakrojonego planu, to bardziej niż pewne.

- Cóż, jak na razie jedyne, co nam pozostaje to czujność - rzekł Rosenkhat, wzruszając lekko ramionami. - I wzmacnianie sił.

- Jeśli już o tym mówimy - rzekł mistrz Teevan, wyciągając z rękawa zalakowaną kopertę - Przeczytaj list i podejmij rozsądną decyzję.

Rosenkhat przyjął kopertę, złamał pieczęć i rozwinął list. Szybko przebiegł wzrokiem po literach o pajęczym kroju, stawianych ręką samego Arcymistrza i uniósł brwi z zadowoleniem.

- No, no... A jednak... Kto jeszcze oprócz mnie mógł dostać to zlecenie?

- Rozważano kandydaturę Trismarité, ale ona jest już zbyt znana jako posłaniec - wyjaśnił Teevan. - Ty masz opinię awanturnika, który pakuje się zawsze tam, gdzie nie trzeba. Twoja obecność może wywołać panikę, ale nie skojarzy się z polityką Gildii.

- Dziękuję - mruknął czarodziej. - Miło mi słyszeć, że moja reputacja wreszcie do czegoś się przydała. A tak przy okazji, czy ta rozmowa o Nishiyante miała mi przypomnieć, że nie byłbym w stanie uszczknąć dla siebie choćby kawałka skóry i zatrzymać go?

- Nie, Rosenkhat. Gdybym uważał cię za takiego głupca, aby ci o tym przypominać, nie przyjąłbym cię parę lat temu na asystenta - odrzekł mistrz, nieco urażony. - Rozmowa wyszła mi tak niechcący.

- Po prostu lubisz się chwalić - wytknął mu były uczeń.

- A ty to może nie - odparował Teevan Umterris. - Wiesz, że jeśli ci się powiedzie, spłacisz prawie cały kredyt zaciągnięty na naukę?

- Taaak, Arcymistrz wyraźnie woli odpuścić kontrakt mnie niż Trismarité - wyszczerzył zęby czarodziej. - Ponownie stwierdzam, że etykieta "zdolny, ale kłopotliwy" doskonale mi się przysłużyła.

- O, nauczanie ciebie było wyczynem heroicznym - westchnął mistrz Teevan. - Jesteś moim największym osiągnięciem. Spełnij więc pokładane w tobie nadzieje i bierz się do roboty. A uważaj na Zakon królowej, nie śpią. Psubraty.

Wtedy, kilka tygodni temu wyglądało to całkiem prosto. Ba, było proste nawet do tego przedpołudnia, wszystko szło jak po maśle. Dotrzeć do pagórka, wykiwać miejscowych, wykiwać Selenites, wykonać zadanie...spłacić uczelniany kredyt i móc wreszcie zacząć myśleć o własnych tematach badań, pracowni tylko dla siebie i dorabianiu na praktyce. Obecnie Rosenkhat wiedział już, że misja stanowczo skręciła w złym kierunku. Siedział pod wodą razem ze swoją byłą dziewczyną z lat szczenięcych, notabene jedną z najlepszych Selenistek, jakie znał, spoglądał na brzeg i głośno przeklinał. Nie dość, że musiał godzić się na współpracę ze swoją najgroźniejszą konkurentką Selenitką, to jeszcze przed chwilą dostrzegł obóz kolejnych amatorów wymiej skóry. I to, co zobaczył, doprowadziło go do lekkiego rozstroju nerwowego.

- Nighaneerowie! *Drall kharann!* Całe pieprzone plemię Nighaneerów!

Istotnie, po brzegu kręcili się przedstawiciele starej rasy Ciemnoskórych. Rosenkhat pierwszy raz widział ich aż tyłu w jednym miejscu. Poza Lasami i Trzęsawiskami Nighaneerskimi daleko na zachodzie Silviterry byli rzadkością. W Aldianie znajdowały się dwie czy trzy pomniejszych nighaneerskie społeczności portowych robotników kontraktowych, czarodziej jednak nigdy się z nimi nie zetknął. Jedyni Ciemnoskórzy, jakich znał należeli do Gildii Sztuk Magicznych, a było ich dokładnie troje. Nie rozmawiał z nimi zbyt często i ich widok ciągle przyprawiał go o dreszcze.

Byli posągowi. Wysmukli, sprężyści, o lśniącej skórze barwy mahoni i kruczoczarnych włosach. Poruszali się płynnie, bez żadnych zbędnych gestów. Ich szczupłym twarzom o jastrzębich rysach niemal brakowało mimiki - dla człowieka, który nie stykał się z nimi codziennie, mogli przypominać aktorów w maskach bez wyrazu. Wydawali się niewzruszeni i nieludscy, podobni dawno zapomnianym bóstwom. Rosenkhat wiedział, że wbrew pozorom Nighaneerowie ulegali emocjom tak, jak ludzie - ale wyrażali je subtelniej i mniej hałaśliwie. "Musimy im się wydawać tacy niezgrabni" myślał nieraz "Jak rozwydrzone dzieciaki albo stado małp"...

Czarodziej zdawał sobie także sprawę z paru innych rzeczy. Na przykład, Nighaneerscy wojownicy byli świetnie wyszkoleni, inteligentni, znakomicie walczyli wszelką bronią, a w potrzebie współdziałali ze sobą nie gorzej niż oficerowie pod komendą aldiańskiej królowej. Nighaneerowie mieli też zdolnych magów. Stanowili więc groźną konkurencję.

- Moje parszywe szczęście. - westchnął.

- Ja chcę wyjść... - jęknęła Tash. - Dłużej w tej bańce nie wytrzymam i wyrzygam...

- I będziesz pływała w zarzyganej bańce... - mruknął Rosenkhat, starając się jednocześnie myśleć nad jakąś taktyką. Nie zaatakuj ich na hurra, to by było co najmniej głupie. Trzeba wypłynąć w pewnej odległości od obozu, rozpakować się, odpocząć...i obserwować. Zresztą z histeryzującą Tasheyną na karku nie da się zrobić nic innego.

- To ja się uduszę...!

- To się duś, ja ci nie przeszkadzam - stwierdził czarodziej. - Znalazłem dobre miejsce na obozowisko za tamtym mniejszym wzniesieniem terenu. Jeśli będziemy zachowywać się cicho, Nighaneerowie nas nie wytropią.

- O... - ucieszyła się Tasheyna słabo i zamilkła. Rosenkhat wydał z siebie westchnienie ulgi.

Skręcili prosto w ławicę drobnych rybek, które gwałtownie pierzchły na ich widok. Rosenkhat skierował bańkę w stronę niewielkiej zatoczki; wynurzyli się w pobliżu porośniętego gęstą trawą brzegu, pośród łożyn i za kępą trzciny. Magiczna osłona zanikała w miarę, jak wychodzili z wody. Tasheyna oddychała ciężko, czepiała się rękawa czarodzieja, próbując zachować równowagę. Rosenkhat pomyślał z rozdrażnieniem, że chyba pora wykazać się rycerskością. Bezceremonialnie przerzucił Selenistkę przez ramię, nic sobie nie robiąc z jej słabych protestów.

- Postaw mnie! - pisnęła Tash, kiedy już znaleźli się na suchym gruncie.

Czarodziej bez słowa spełnił jej prośbę. Ku jego zaskoczeniu, Selenistka w podzięcie cmoknęła go w policzek.

- I zrozum tu kobiety - westchnął do siebie. - Najpierw wrzeszczą, potem całują, a dlaczego? Któż to wie...

- Byłbyś dla mnie trochę miłszy - nachmurzyła się Tasheyne. - W końcu cię uratowałam. No i na razie mamy rozejm.

Rosenkhat przyjrzał się jej uważnie i poprawił toboły na plecach, które powoli zaczynały odzyskiwać swój naturalny ciężar.

- Moja mała, ty czegoś wyraźnie ode mnie chcesz.

- Tak, chcę - oświadczyła Selenistka z determinacją. - Chcę, żebyśmy rozbili obóz, zjedli coś, odpoczęli i może trochę się zdrzemnęli. Bo widzisz, masz raczej zabójcze tempo. Od takiej ilości magii, jaką dziś spożytkowałeś, każdego rozbolełaby głowa...Ty, owszem, jesteś zdolny, ale kiedyś się zmęczysz. Więc zamiast ruszać na Nighaneerów, o których nic nie wiesz...

- Spokojnie, może i lubię szarżować, ale nie jestem głupi. Znajdziemy jakąś polankę, przekąsimy co nieco i odsapniemy. - Skinął głową czarodziej. Postanowił także po obiedzie ponownie rzucić zaklęcie ostrzegawcze - może wtedy dowie się dokładniej, w jakie bagno wdepnął...

Rosenkhat Darantian metodycznie czyścił złapane ryby, mimochodem zastanawiając się, w jakich ziołach najlepiej będzie je obtoczyć przed upieczeniem nad ogniskiem. Zdecydował już, że nie sięgnie po swoje zapasy - jak każdy czarodziej, miał ze sobą wiele ziół o rozmaitych właściwościach, w tym takich, które mogły służyć również jako przyprawy. Nad brzegiem jeziora rosło jednak całkiem sporo świeżej mięty i szałwi, chociaż ta druga była raczej zbyt gorzka jak na jego potrzeby.

- Zawsze nosisz ze sobą linkę i haczyk na ryby? - usłyszał szept zza pleców. - Masz to chyba we krwi...

Miała na myśli jego pochodzenie - Rosenkhat został wzięty na ucznia z rybackiej rodziny. Gildia wypłaciła rodzicom odszkodowanie - tracili przecież przyszłego pomocnika. Po ukończonej nauce czarodziej miał spłacić Gildii ten dług, wraz z wszelkimi kosztami. Mógł też ową sumę odpracować. I chociaż ze względu na wyniki w nauce spora część kredytu została umorzona, czarodziej nadal nie wywiązał się do końca z płatności. Bogatsi uczniowie Szkoły Gildii, tacy, którzy kupowali sobie miejsca w szkole, często gardzili biednymi studentami, którzy nie mieli nic prócz talentu. Ale bez względu na zamożność, mistrz był mistrzem.

W głosie Tasheyne nie było ironii. Sama pochodziła z biednej rodziny. Zanim obudził się w niej dar bogini Selene, pomagała matce przy wypędzaniu cudzego bydła. Los najemnych, bezrolnych chłopów był dużo gorszy niż życie rodziców Rosenkhata, którzy posiadali sprawną rybacką łódź i całkiem znośnie im się żyło. Mieszkali zresztą w Ilmaryanis, jednym z ważniejszych portów na północnym wybrzeżu. Wielka metropolia, żadne zadupie, powtarzał sobie często z dumą czarodziej.

- To praktyczne - odrzekł mag. - Wolę świeże ryby od sucharów i suszonego mięsa. Jak dla mnie, dość oczywisty wybór.

- Surowe ryby śmierdzą - zauważyła Tash, przypatrując się jego pracy.

- Po upieczeniu pachną wybornie - uśmiechnął się Rosenkhat. Myśl o zbliżającym się posiłku napępiała go zadowoleniem. Słońce zniżyło się już do linii horyzontu; czarodziej był głodny i znużony. Kończył się

bardzo, ale to bardzo ciężki dzień. Żaden z problemów, jakie piętrzyły się przed postąńcem Gildii nie został rozwiązany, ale przynajmniej będzie można coś zjeść.

Rosenkhat nie zapomniał jednak o czujności. Wrażenie obecności Purpury osłabło, ale wciąż było obecne. Istniały wątpliwości, które musiał rozstrzygnąć.

- Pewnie - odpowiedziała tymczasem Tasheyna. Była dziwnie spokojna. Zmęczyła się, czy coś planowała?

- Miałaś nie opuszczać kręgu ochronnego, który założyłem wokół obozowiska - przypomniał czarodziej. Oprócz kręgu, wplótł tam także kilka innych zaklęć, o których nie chciał mówić Selenistce.

- Chciałam cię tylko przeprosić...

Przeprosić? Rosenkhat osłupiał. Ryby zaczęły śpiewać, a drzewa rosnać korzeniami do góry? Słońce zrobiło się niebieskie, a krowy tańczą do taktu? Tasheyna przeprasza, a niech to demony. Nie pamiętał, by kiedykolwiek to od niej usłyszał. Przyjrzał się jej uważniej.

Selenistka kontynuowała.

- ...za moje dzisiejsze zachowanie. Byłam zła i zmęczona. Sam wiesz...wyruszasz na taką misję, a potem dowiadujesz się, że twoim przeciwnikiem będzie człowiek, którego znasz. I to tak dobrze... A ty...nie straciłeś zimnej krwi. Ani na chwilę...

Niedbałym gestem odrzuciła na plecy pukiel ciemnobrązowych włosów.

Rosenkhat zdumiał się jeszcze bardziej. Zastanawiał się, czy Selenistka naprawdę odczuwała wyrzuty sumienia, czy żywiła dla młodego czarodzieja głębszą sympatię.

- Dobrze nam kiedyś było razem - westchnęła Tash. - Pamiętasz?

Prawdę mówiąc, zanim pojawiła się dzisiejszego ranka, ledwie pamiętał jej twarz.. Tamte szczeniackie wybryki dwójki szesnastolatków nie miały w sobie nic głębokiego. Bawili się razem, sypiali razem, trochę z nudów a trochę dla sportu, na przekór mentorom ze swoich uczelni. Przestali, kiedy się sobie znudzili. Potem były inne dziewczyny i inni chłopcy - o Tash plotkowano, że prowadzi się lekko, czarodzieja zaś nazywano - i słusznie - zawołanym uwodzicielem. Rosenkhat do tej pory nie poznał kobiety, z którą chciałby związać się na dłużej. Po jakimś czasie rzucał je lub też one rzucały jego. Nie miał najłatwiejszego charakteru pod słońcem.

O co chodziło Tash? Jasne. Gra o wysoką stawkę. Potwierdzając owe przypuszczenia niemal na zawołanie, jaźń Selenistki delikatnie musnęła jedną z tarcz ochronnych osłaniających jego umysł. Zapewne badała, czy rozluźnił kontrolę.

- Daruj sobie, moja słodka - mruknął Rosenkhat. - Przestań wyciągać te swoje telepatyczne macki, bo się sparzysz. Nie nabiorę się na najstarszą sztuczkę świata.

- Oj, Rosenkhat... - nadała się Tasheyna, popatrując na niego spod zasłony długich rzęs. Miała oczy o pospolitym, piwnym kolorze, lecz rzucanie uwodzicielskich spojrzeń opanowała do perfekcji. Była pociągająca, ale czarodziej ani na chwilę nie zapomniał o okolicznościach. - Jest zupełnie inaczej, niż myślisz. Poczekam na ciebie przy ognisku, zgoda?

I oddaliła się w kierunku polanki.

- Ech, kobiety... - westchnął czarodziej, ponownie zabierając się do czyszczenia ryb. Oby ta misja zakończyła się już wkrótce, i to pomyślnie. Będzie mógł spłacić większość długu, zapewne prześle coś

rodzinie. Zastanowił się, czy pierwsze dziecko jego młodszej siostry już się urodziło. Przydałby się jakiś ładny prezent, a może amulet od alchemików? Małe dzieci potrzebowały wiele szczęścia, aby przeżyć.

Po jakimś czasie wrócił do obozowiska. Ognisko paliło się spokojnie i bezdymnie (kolejne drobne zakłęcia, które ułatwiało życie); osłonięte przez gęste krzaki otaczające polankę, nie zdradzało Nighaneerom obecności intruzów. Niedaleko wznosiło się zbocze pagórka...a raczej przysypanego ziemią wyrma. Ciekawe, ile jeszcze czasu zostało mu do przebudzenia. Sądząc z wyliczeń, około tygodnia.

Tasheyne siedziała tyłem do niego, owinięta w swoją pelerynę. Słyszając, że nadchodzi, obróciła się w jego stronę i zrzuciła szatę z ramion. Była całkowicie naga.

Rosenkhat upuścił ryby z zaskoczenia. Bezpośredniość Tash całkiem go ogłuszyła. Jego wzrok błędził przez chwilę po nienaganych liniach i krągłościach. Selenistka przeciągnęła się lekko i ziewnęła. Światło zachodzącego słońca padło na jej piersi, nadając skórze ciepły odcień. Czarodziej, będąc znanym wielbicielem kobiecych wdzięków, uznał ten widok za niesłychanie przyjemny. Co za cholerne, podstępne babsko, pomyślał trzeźwo.

- Widzę, że znalazłaś swój sposób na upały - powiedział, przy czym poziom jadu w jego głosie sięgnął szczytów sosen.

- Ummm - ziewnęła Selenistka. - Nie będziemy dzisiaj nikogo gonić. Moim zdaniem, to całkiem dobry pomysł na odpoczynek. Bez żadnych zobowiązań... - kusiała.

Czarodziej z udawaną obojętnością usiadł przy ognisku. Podobała mu się. W innym miejscu, w innym czasie, nie zastanawiałby się długo nad jej propozycją. Ale...

- Pozwól, że zgadnę. Zaczniemy się kochać i moje tarcze ochronne osłabną. Ty mi grzecznie wypierzesz mózg, a potem zabierzesz sobie całą skórę wyrma.

- Och, no co ty - oburzyła się Tasheyne, pochylając się lekko. - Tak się zabudowałeś, że musiałabym łamać twoje tarcze godzinami, nawet gdybyś nie do końca nad nimi panował.

Rosenkhat starał się popatrzeć na nią sceptycznie, ale wyszło mu zwykłe gapienie się.

- Nie znam twoich możliwości - przyznał. - Nie widzieliśmy się przez długi czas, a żadne z nas nie straciło tych lat na opijaniu się krotoskim piwem.

- Nie znasz moich...możliwości - powiedziała Tash bardzo dwuznacznie i uśmiechnęła się słodko. - Jeśli chcesz, odpraw dodatkowy rytuał. Będzie mi miło. Będzie nam miło.

Coś tu nie grało. Tasheyne w zalotach zawsze była subtelna niczym słoń w składzie porcelany, ale tym razem...za bardzo jej zależało. Wdzięczyła się, prezentowała zalety swojego kształtnego ciała. Podeszła do niego na czworakach i położyła palec na jego ustach. Stary kobieciarz Rosenkhat zarumienił się niczym młody uczeń. Zachowywała się jak ładacznica...ale...

Jedno z zaklęć rozpostartych wokół obozowiska drgnęło w nim ostrym szarpnięciem. Drugi krąg, działający tylko w nieobecności pierwszego... Czarodziej zrozumiał. Na dobrą sprawę było to potwierdzenie jego wcześniejszych podejrzeń, które teraz nabrały sensu...

Uśmiechnął się szeroko, patrząc jej prosto w oczy. Widocznie uznała to za przyzwolenie, gdyż zaczęła rozwiązywać troczki jego koszuli.

- Gratulacje, Tash. Jesteś znakomitą aktorką.

Selenistka znieruchomiła, spoglądając na niego ze zdumieniem.

- Doskonale wykalkulowany czas pojawienia się, bierność wobec moich decyzji, udawane emocje...muszę przyznać, że jesteś świetna.

- Rosenkhat, co ty wygadujesz? - Tash wyglądała na wzburzoną. - Teraz twoja kolej na idiotyczne insynuacje? Mamy szansę na wspaniały wieczór, nie zepsuj jej.

W jej głosie dźwięczała szczerłość. Czarodziej niemal zwątpił w swoje podejrzenia, ale postanowił mówić dalej. Selenistów uczono rygorystycznej kontroli nad własnym umysłem, szczególnie jeśli wykazywali zdolności telepatyczne. Odgrywanie emocji wedle upodobania nie musiało być dla nich trudnym zadaniem.

- Widzisz, złotko, dawna Tash nie zadawałaby sobie aż tyle trudu, aby mnie uwodzić. Mógłbym założyć, że przez tyle lat całkowicie straciłaś godność osobistą, albo że po prostu brak ci chłopa...

- Jak śmiesz... - warknęła Tasheyna.

- Ale moje zaklęcie nie może być aż tak do dupy, aby wywoływać fałszywy alarm przez tyle godzin po tym, jak niebezpieczeństwo zanikło. Z tego, co wiem, kiedyś używano go na wojnie. Musi być dopracowane...

- Też mi powód, a może ktoś nas obserwuje? - prychnęła Selenistka. - O tym nie pomyślałeś, mój panie?

- To nie jest jedyny powód. - Głos Rosenkhata zabrzmiał nieoczekiwanie twardo dla niego samego. - Przerwałaś mój krąg ochronny. Nie wiedziałaś, że był podwójny. Nighaneerowie już tutaj idą. Masz z nimi kontakt telepatyczny, prawda? Od samego początku? Pozwoliłaś mi dotrzeć aż tutaj i chciałaś kochać się ze mną, żeby mnie zarazić, prawda? Sądziłaś, że zdejmę dla ciebie zaklęcie - zbroję? I, hm, nie tylko? Czy twoi poplecznicy mieli to wszystko oglądać zza krzaków?

- Widzę, że zmądrzałaś z wiekiem. Trochę cię nie doceniłam - rzekła Tasheyna, wstając gwałtownie i ukazując zgrabne ciało w całej okazałości. - Owszem, masz rację. Regularnie przysyłałam wiadomości wodzowi. Jeśli chcesz wiedzieć, rozbili obóz w tak widocznym miejscu na mój rozkaz. Tylko dlatego ich dostrzegłeś. Dawałaś sobą manipulować jak dziecko, a teraz już jest i tak wszystko jedno. Nighaneerowie okrążają obóz, a ja mam sposoby na to, żebyś nie uciekł.

- Bivisty miały was chronić od niepożądanych gości, ale ja byłem na nie zbyt silny, więc szybko zmieniłaś plany - mruknął czarodziej. - Jako sojusznik, stanowiłbym cenny nabytek. Powiedz mi, Tash, od kiedy jesteś zarażona? Dopadli cię w trakcie misji, czy może już wcześniej należałaś do nich i zabiłaś poprzedniego posłańca? Ciekaw jestem, ile w tobie zostało prawdziwej Tasheyny. To podobno zmienia osobowość.

- Tylko ludziom o nijakim charakterze. U mnie nie zmieniło się nic, prócz lojalności. I uczucia przynależności do kolektywu, rzecz jasna. Przez większość czasu zachowywałam się całkiem naturalnie, nie musiałam grać - odrzekła Tash z sarkastycznym uśmiechem. - Zawsze chcesz wszystko wiedzieć, Rosenkhat. Stoisz tu i gadasz ze mną, tracąc czas i resztkę szans na oswobodzenie. A może chcesz się przyłączyć? Nic o nas nie wiesz, nie znasz naszych motywacji. Skąd ta pewność, że to nie my jesteśmy tymi dobrymi? Może pójdziemy na jakiś układ?

Rosenkhat słuchał jej jednym uchem. Nie tracił czasu, jak sugerowała; grał na zwłokę, uruchamiając bojowe czary ochronne. Niewielu umiało to zrobić bez wypowiedzania zaklęć na głos. Tash nie była czarodziejką i nie zdawała sobie sprawy z tego, że można dojść do podobnej biegłości.

- Dobrzy czy źli, ze zdrajcami się nie układam - odpowiedział, jednocześnie wyciągając dłoń w jej kierunku. Z palców wystrzeliło wyładowanie elektryczne i natychmiast rozpełzło się po niewidzialnej tarczy, jaką Tash roztoczyła wokół siebie.

- Naiwniak - stwierdziła Selenistka, wpijając w niego spojrzenie. Czarodziej poczuł lekki nacisk na umysł. A więc jednak próbowała zerwać osłony. Zła taktyka. Dała mu czas na wystosowanie lewitacji.

Rosenkhat uniósł się w górę... i stuknął głową o pole siłowe.

- *Drall kharann!!!*

Tash zachichotała i zmrużyła oczy, a w następnej chwili pochwycony przez jej moc czarodziej z impetem rozpląszczył się o niewidzialną ścianę.

- Auuu.

- I co teraz, spryciarzu?

Czarodziej wyszczerzył zęby i wskazał palcem na ognisko. Płomienie buchnęły wysoko i rozszerzyły się błyskawicznie, wypełniając całą telekinetyczną bańkę - pułapkę. Selenistka pisnęła - nawet wewnątrz swoich tarcz poczuła gorąco. Rosenkhat uśmiechnął się. Nie mógł go zranić jego własny czar. Tash zaklęła szpetnie i zdjęła pole siłowe; płomienie wystrzeliły wyżej, Selenistka gwałtownie uniosła się w górę. Mag pospieszył za nią.

- Hej! To tak ładnie latać nago? Nighaneerowie patrzą!

- Zamknij się!

- Nóżki masz śliczne! A cycuszki również niczego sobie!

- Śliń się, gadaj, to się rozpraszasz! - zawołała Tasheyna i zanurkowała w powietrzu, łyskając zgrabnymi pośladkami. Obróciwszy się w kierunku czarodzieja, spróbowała unieruchomić go siłą woli.

Rosenkhat poczuł, że coś go zatrzymuje. Nie mógł się poruszyć, ale stać go było na proste zakłęcie...

- *Strzelajcie!* - Selenistka wydała telepatyczny rozkaz.

Zadźwięczały zwolnione cięciwy. Grad strzał z dołu posypał się w stronę Rosenkhata...

I stała się ciemność. Świst strzał ucichł.

Tasheyna rozejrzała się wokół, zdezorientowana. W pierwszej chwili myślała, że została oślepią i zastanowiła się, czy Rosenkhat w swej żądzy wiedzy począł zgłębiać Zakazaną Magię. Wzdrygnęła się; oświadczył ją lęk przed tak niebezpieczną mocą. Zaraz potem zorientowała się, że to popularny czar, iluzyjna ciemność.

- Pani! - rozległ się okrzyk z dołu. - Opuść magiczną chmurę, niech poleci za tobą! Nie widzimy celu! Nie możemy strzelać!

- Paskudna sytuacja, prawda? - rozległ się głos tuż przy jej uchu. Chwyciły ją krzepkie ramiona czarodzieja.
- Twoja moc jest silna, ale wymaga koncentracji.

Tasheyna pomyślała sobie, że nie może przecież zawieść Matki Purpury i wystosowała na oślep telekinetyczne pchnięcie.

- Auuuuuuu! - zduszony krzyk Rosenkhata odpowiedział jej, gdzie trafiła. Puścił natychmiast. Selenistka wzbiła się wyżej, pozostawiając chmurę magicznej ciemności za sobą.

- Auć, auć, niech ją cholera. - Czarodziej podążył za nią, jęcząc. Na szczęście zaklęcie - zbroja trochę złagodziło cios. Pojedynek niebezpiecznie się przedłużał; Tash rzeczywiście wiele się nauczyła od czasu ich znajomości. Rosenkhat, oczywiście, również rozwijał swoje umiejętności przez te lata; niestety, jego najsilniejsze zaklęcia wymagały pełnej inkantacji i odrobiny czasu, którego nie miał. Ponadto, tego dnia czarował raczej intensywnie; jeszcze trochę, a dosięgnie go zmęczenie. Na to właśnie czekała Selenistka.

Chwilę później Nighaneerowie ponownie zaczęli strzelać. Na drodze ich strzał znajdowała się co prawda iluzyjna chmura, a cel leciał z dość dużą prędkością, mimo to kilka pocisków świsnęło niebezpiecznie blisko, a jeden przebił na wylot fałd nogawki. Zaklęcie - zbroja nie działało na nighaneerskie strzały...! Grot był pokryty czerwono - brązowym paskudztwem...krew? Krew napastników? Wystarczyłoby jedno draśnięcie...Na czoło Rosenkhata wystąpił zimny pot.

Zamiast gonić Tasheyne, czarodziej odbił w stronę pagórka. Zamierzał uciec poza zasięg łuków i zyskać na czasie.

Selenistka poniewczasie spostrzegła zmianę taktyki.

- Tchórz! Zwykły tchórz! - krzyknęła i wykonała szybki zwrot. Rosenkhat nie mógł jej się wymknąć! Miał tylko dwie możliwości - przyłączyć się lub zginąć.

W pewnej odległości od miejsca powyższych wydarzeń, zza równoległego pagórka wyłoniła się zagadkowa postać z lornetką. Człowiek ten - gdyż jak już wspomniano, była to istota ludzka - sapnął ciężko, otarł pot z czoła i zastanowił się, co by zrobić, gdyby nie znał skrótu. Potem zaś pomyślał, że to doskonale miejsce na obserwację dalszych wydarzeń. Wyjął kanapkę zza pazuchy, a potem przyłożył przyrząd do oczu.

Rosenkhat leciał z zawrotną prędkością w stronę pagórka. Za nim podążała potężna Selenistka, nieodwracalnie skażona przez Purpurę. Wiedział, że będzie musiał ją zabić. Obecnie Tash nie jest już nawet właściwie człowiekiem, przekonywał sam siebie. Zdradziła nie tylko królową, ale cały ludzki gatunek. Taka moc pod komendą Purpury oznaczała katastrofę. A jeżeli jeszcze uda im się zabrać skórę wyrma...



Nie zastanawiał się już dłużej. W locie recytował zaklęcie i miał nadzieję, że Sol i Selene wspomogą go w tym przedsięwzięciu.

- *Natu!* *Te haeté!* *Suen flavy neh avahöe!* *Athé!* *Te haeté!* *Suen shar!* *Suen tharay!* - jego głos potęgował z każdą chwilą, stawał się silniejszy od szumu wichru w uszach. - *Verli!* *Te haeté!* *Ne suen mishar, lette avare banri!* - czuł zbierającą się moc, a także turbulencje powietrza - to Tasheyne próbowała mu przeszkodzić, ale nie mogła wycelować. - *Gaya!* *Te haeté!* *Ah tharve drall!* *Ab faray, ab varay, vel vite, vel tinél!*

Oczy Rosenkhata rozbłysły bielą, wokół niego uformowała się różnokolorowa chmura, której źródło spoczywało w dłoniach. Wirowały w niej płomienie, zielonkawe kryształy i skłębiona mgła, a wszystko to razem zdawało się mieć własną osobowość. Czarodziej gwałtownie wyhamował nad pagórkiem i odwrócił się w stronę Tasheyne; tak szybko, że jego warkoczyk nie nadązał za tym ruchem. Dokładnie w tym samym momencie, w którym Selenistka wysłała ku niemu porcję mocy, która miała go rozerwać na pół, mag uwolnił falującą, niestabilną kulę żywiołów. Zaklęcie pomknęło naprzód, pożerając całą moc, jaką napotkało po drodze, rosnąc w siłę i rozmiary, formując się na kształt skulonego

humanoida. Jego twarz do złudzenia przypominała oblicze Rosenkhata, a za głową, jak ogon komety, wlokła się cienka, ognista nitka. Czar otworzył usta, wchłaniając telekinetyczny atak Tasheyny.

Selenistka nie miała tyle siły, refleksu, czy też zwykłego opanowania, aby przeciwstawić się zaklęciu. Istota schwyciła ją i eksplodowała w feerii barw, zaś Tash całkowicie straciła kontrolę nad swoją mocą i zaczęła spadać jak kamień. Czarodziej w pierwszym odruchu chciał ją ratować; musiał powtórzyć sobie po raz kolejny, że tak naprawdę to nie Tash, którą znał i lubił, że chociaż pozornie się nie zmieniła, tamta Tash zginęła już dawno w chwili gdy stała się częścią nieludzkiej potęgi.

- To zaklęcie miało ją zabić - mruknął do siebie czarodziej. - Taki miałem zamiar i do cholery, zostawmy te głupie sentymenty.

Ponad sto stóp do powierzchni ziemi. Rosenkhat zamknął oczy i otworzył je dopiero wtedy, kiedy usłyszał serię głośnych trzasków. Tasheyna leżała w leszczynach na szczycie pagórka; spadając, złamała kilka gałęzi z rzędu. Wyglądała jednak na całkiem żywą, najprawdopodobniej zdążyła częściowo zamortyzować upadek swoją mocą. Czarodziej sfrunął na dół.

Tash miała rękę wykręconą pod dziwnym kątem, a jej gładkie ciało było poważnie poparzone zaklęciem. Mimo to, wpatrywała się w swojego adwersarza upartym wzrokiem, zupełnie, jakby nie czuła bólu. Może rzeczywiście nie czuła. Kto wie, jakie korzyści dawała przynależność do Purpurowych hord.

- Chyba pora zakończyć tę sprawę - rzekł czarodziej, czując się już zupełnie niezdolnym do sarkazmu. - Bogowie świadkami, że nie jesteś moją ulubioną Selenistką, ale zabiłbym na miejscu tego, kto zaraził cię tym świństwem.

- To nie jest krzywda...służenie Purpurze...jest wspaniałe - szepnęła Tash.

- Mów do mnie jeszcze! - wybuchnął Rosenkhat. - Oczywiście, dla ciebie nie może być inne! Jesteś bezwolną marionetką, niewolnicą, tobie musi się wydawać, że służba Purpurze to wspaniała rzecz! Zresztą ludzie bardzo chętnie oddają własną niezależność, nawet bez zarodników.

- Rosenkhat, idioto, jak ty nic nie rozumiesz - jęknęła Tasheyna. - Tworzymy społeczeństwo idealne...my, Nighaneerowie, Tsaji, inne humanoidy, zwierzęta, nawet demony...harmonijne, bez wewnętrznych wojen, zgodne, rozumiejące się nawzajem. Zjednoczone poczuciem przynależności do wspólnego narodu. Walczymy o zupełnie nową cywilizację, o raj na ziemi. Nadrzędna władza...czy to się tak bardzo różni od służby dla królowej Aldianu?

Czarodziej westchnął z bólem.

- Jak cholera się różni, moja mała. Nawet gdyby to, co mówisz było po tysiackroć prawdą. Nie potrafiłabyś teraz tego zrozumieć, ale ze wszystkich wartości na świecie najbardziej cenię sobie moją wolną wolę, możliwość wzięcia losu we własne ręce. Nie nęci mnie kraina wiecznej szczęśliwości, w której o wszystkim decyduje się za mnie. Nawet dla mojego dobra. To moje życie i moje błędy, Tash.

- Wiesz co, Rosenkhat, z ciebie to jednak kawał sukinsyna... - Selenistka splunęła.

W dłoni Rosenkhata rozjarzyło się ostatnie zaklęcie w tym pojedynku.

- Tash, ty kretynko - powiedział miękko, z żalem w głosie.

I wtedy nastąpiła apokalipsa.

Czarodziej nie potrafił sobie później przypomnieć, czy zdążył w końcu rzucić swój czar, czy też nie; prawdopodobnie i tak nie miało to szczególnego znaczenia. W jednej chwili ziemia zaczęła się trząść i wydzielać gorącą, cuchnącą parę; Tasheyna zawyła, tarzając się w śmiertelnych konwulsjach, inne

przeraźliwe krzyki dobiegały od strony zbocza. Trująca mgła zabijała zarówno Selenistkę, jak też jej Ciemnoskórych popleczników. Drzewa padały niczym przewrócone klocki domina, darń pękała na podobieństwo skórki drożdżowego ciasta. Rosenkhat miał jeszcze tyle przytomności umysłu, aby wzbic się do góry, jego jednak także owionęły opary. Być może miały one tak trującą moc tylko dla poddanych Purpury, a może czarodziej wchłonał mniejszą dawkę - trudno powiedzieć, dość, że jedynym ich efektem, było potężne oszołomienie. Próbuąc zaprząć zamglony umysł do pracy, Rosenkhat starał się znaleźć bezpieczne miejsce. Niestety, nie odleciał daleko. Przez chwilę jeszcze przyglądał się pękającej ziemi, która zbliżała się stanowczo zbyt szybko. Jego ostatnią myślą było: "*Drall kharann*, nikt nie lubi, jak go się za wcześnie budzi...!". A potem zapadła cisza i ciemność.

Bolała go głowa. Do cholery, wszystko go bolało. W ustach miał jakieś liście. Rosenkhat powoli otworzył oczy i jęknął. Po kilku nieudanych próbach zdołał wreszcie zogniskować wzrok na otoczeniu. Leżał wśród rumowiska - przewróconych drzew, stosów ziemi i darni, wyrwanych z korzeniami krzewów. Nad nimi, w pewnej odległości górowało potężne, mahoniowo lśniące cielsko.

Czarodziej nie mógł się poruszyć. W pierwszej chwili zdjął go przeraźliwy lęk - złamany kręgosłup i nieodwracalny paraliż. Kiedy tylko jednak odrobinę wróciła mu przytomność, zorientował się, że jest zaklinowany pod pnem drzewa. Dzięki jakiemuś szczęśliwemu kapryswi losu, nie przygniatało go całym swoim ciężarem, nie pozwalało tylko wyjść.

"Chyba nie mam nic złamanego" - pomyślał mag. Prawdopodobnie ochroniło go zaklęcie - zbroja i znowu, tylko łutowi szczęścia zawdzięczał, że czar nie wyparował natychmiast po tym, jak stracił przytomność.

Rosenkhat westchnął. W chwili obecnej nie był w stanie rzucić jakiegokolwiek zaklęcia i wydostać się stamtąd. Zastanawiał się, ile czasu będzie jeszcze musiał tutaj przeleżeć.

- A więc pan żyje, mistrzu Rosenkhat! - usłyszał nagle znajomy głos. - Co za szczęście, już się bałem. Jest pan cały?

Czarodziej uniósł głowę.

- Markil - stwierdził ze zdumieniem. - Skąd wiedziałeś, gdzie...? - głos mu spoważniał. - Jeśli należysz do Purpury, nie wahaj się. Nie mogę się bronić. Wyprułem się z całej energii.

Młody czarodziej zachichotał i zdjął coś z kołnierza Rosenkhata. Małą, drewnianą płytkę z blaszaną zapinką.

- Podśluch.

- Eeeee?

- I radar. Temporalne zaklęcie. Działa dwa-trzy dni...

- Ty mały...! - wściekł się czarodziej. - Zapluskwiłeś mnie! MNIE! ZAPLUSKWIŁEŚ! Proszę! Możesz teraz przejąć schedę po mistrzu! Wyrm leży tam...!

- Ależ niech pan się uspokoi - mitygował pryszczaty mag. - Żeby bronić takiego skarbu, trzeba rozkazywać armii. Chętnie zrzeknę się praw do skóry wyrma i wyciągnę pana spod tego pnia, ale pod jednym warunkiem.

- Słucham - rzekł jadowicie Rosenkhat.

- Proszę wziąć mnie do terminu i zarekomendować Gildii. A, i jeszcze wyrównać moje braki programowe...

Czarodziej popatrzył na niego z osłupieniem.

- *Drall kharann*. A więc o to chodzi...! - uśmiechnął się szeroko. - Niech cię, Markil, jesteś o niebo sprytniejszy, niż myślałem. Muszę przyznać, że cię nie doceniłem. No, przechytryłeś mnie!

- A więc zgadza się pan?

- Zgadzam się. Nawet daję słowo. Niech to demony, właśnie wrobiłem się w ucznia.

- *Tharve leta, vel natuú*. - delikatne iskiereki otoczyły pień drzewa, po czym stał się on na tyle lekki, że Markil mógł go odrzucić jedną ręką.

- Dzięki... - jęknął Rosenkhat, nieporadnie próbując wstać. Nowy uczeń pomógł mu dźwignąć się na nogi. Czarodziej westchnął.

- Ale tak swoją drogą, może wykazujesz zbytnią ufność. Skąd wiesz, że teraz, gdy jestem już wolny, nie pozbędę się problemu? Dlaczego wierzysz, że dotrzymam słowa? Nie wszyscy dotrzymują.

- Bo mimo wszystko... - powiedział Markil, drapiąc się po głowie. - Z tego, co słyszałem... Mimo wszystko, w gruncie rzeczy porządny z pana człowiek.

- Hm - mruknął mag. - Ach tak. No cóż. W takim razie masz to - wyciągnął z kieszeni dużą, okrągłą pieczęć Gildii - Idź i przyklej ją do wyrma. Gdziekolwiek. Zakłęcie pieczętujące. Zabezpieczy robala aż do czasu przybycia transportu.

- Już się robi, mistrzu.

- Aha, i jeszcze coś.

- Tak, mistrzu?

- Nikomu o tym nie mów.

- O czym...?

- No, że jestem porządnym człowiekiem. Większość ludzi uważa mnie za kawał sukinsyna i, na bogów, nie chciałbym sobie popsuć tej opinii...!

Koniec